

NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi w Galicyi i Austryi: Kwartalnie kor 6·25 Półrocznie kor. 12·50. Rocznie kor. 25. — Do Niemiec: Kwartalnie 6 kor. 90 hal. Półrocznie 13 kor. 80 hal. Rocznie 27 kor. 60 hal. z przesyłką pocztową. — W Ameryce: Kwartalnie 7 kor. 55 hal. Półrocznie 15 kor. 10 hal. Rocznie 30 kor. 20 hal., z przesyłką poczt

Zmiana adresu kosztuje 40 hal.

Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 hal. — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV.
ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny)
Telefon Nr. 479.
Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

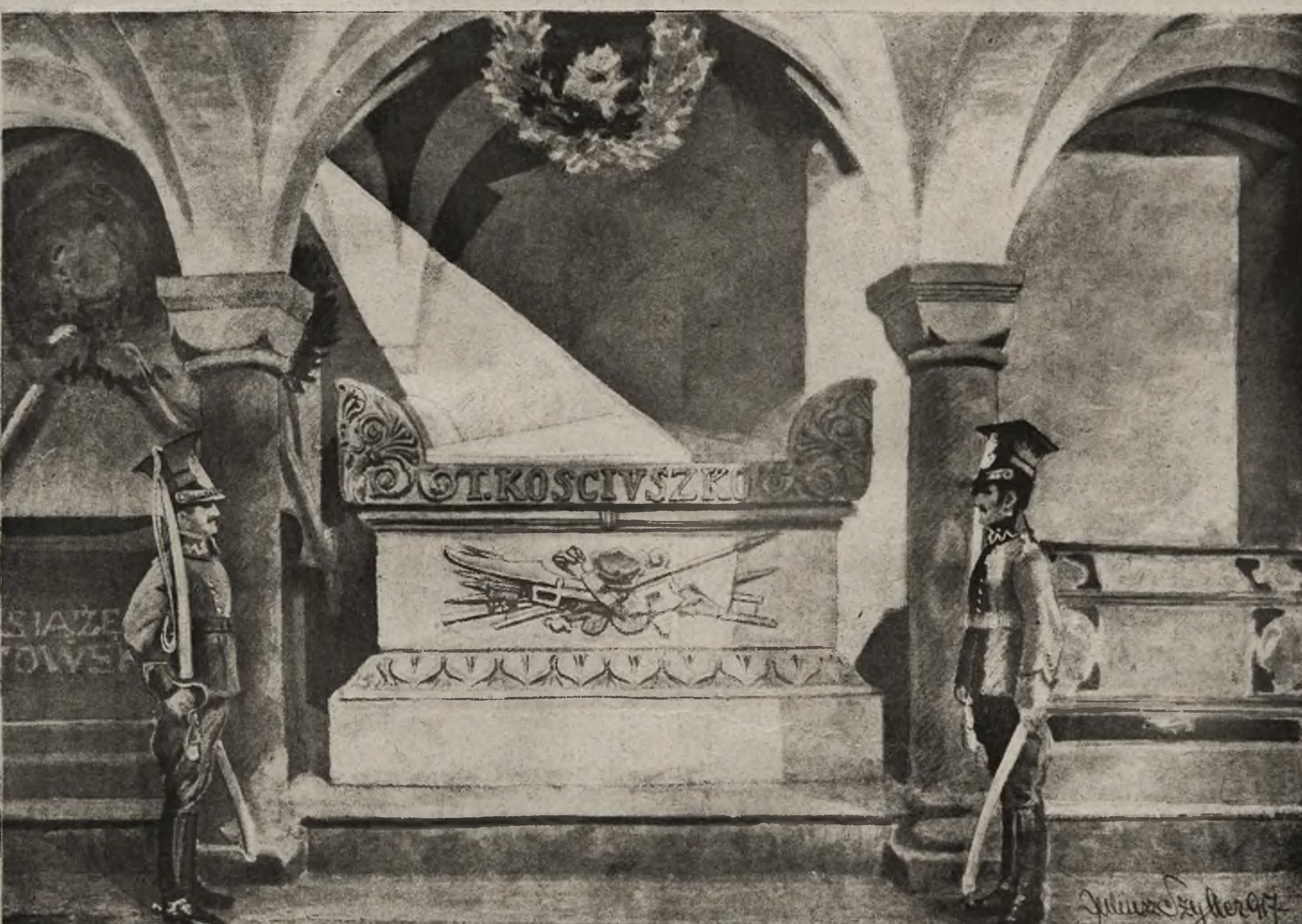
Główny skład na Królestwo Polskie: **Władysław Biernacki w Warszawie, Hoża 15.**

Główny skład na Księstwo Poznańskie: **M. Niemierkiewicz Poznań, plac Wilhelmowski 3.**

Numer pojedynczy 50 halerzy.

Rok XIV. **Kraków, 13 października 1917.** **Nr. 41.**

W SETNĄ ROCZNICĘ ZGONU NACZELNIKA.



W setną rocznicę zgonu Naczelnika.

Każdy naród, mający prawo do życia, czci swoich mężów zasłużonych, jako owe słupy ogniste, pomiędzy którymi snuje się wstęga jego dziejów. Rzucają one światło wstecz i przed siebie; wstecz, gdyż pozwalają z przeszłości czerpać to, co wielkie i mocne — naprzód, albowiem rozpraszają ciemnie, zasłaniające drogę, po której naród ma kroczyć. Biada narodowi, który takich słupów ognistych nie posiada, lub który okrył je kirem zapomnienia: nad jego losami zawisł ponury krzyż śmiertelny. Nie próżna przeto chwała, nie chęć przelotnego upojenia wspomnieniami minionej świetności, ale z życia i z żywego tętna narodowej potrzeby rodzi się nieprzeparty poryw, który nas wiedzie przed owe ogniste słupy, przed tych bohaterów postacie, co czynami wiekopomnej zasługi zdobyli sobie prawo do wdzięczności całego narodu.

Takim bohaterem jest Tadeusz Kościuszko i jest nim nie dlatego, iż szedł walczyć za Polskę na drugą półkulę świata, — nie dlatego tylko, że męstwem dorównał największym polskim bojownikom — nie dlatego tylko, że odczuwał potrzebę ładu i spójni w narodzie, ale dlatego przedewszystkiem, że płomieniem umiłowania niepodległości, gorejącym w jego duszy, umiał porwać cały naród w chwili, gdy zdawać się mogło, że ona na zawsze stracona. Aczkolwiek uległ przemocy, to jednak idee swoje przelał na następne pokolenia.

Tego płomienia niepodległości nie zdołały zdusić tytaniczne zamachy wrogów. Nie zamarł on nawet wobec zwątpień, które z ludzkich płynęły rachub, a dotrwał aż do dnia dzisiejszego, aby buchnąć całą potęgą w obecnym momencie, gdy bije godzina sprawiedliwości. Takim Go czcić musimy w rocznicę Jego zgonu, takim Go ukochać musi cały naród, a zwłaszcza porwać On powinien serca całego ludu polskiego, któ-



rego przeznaczenie i potęgę zrozumiał, a Uniwersałem Połanieckim to stwierdził.

* * *

Tem goręcej i silniej winna do nas przemówić wiekowa pamiątka zgonu Naczelnika — dziś, gdy znowu ważą się losy narodu, gdy z poza kurzawy wojennej, wśród zgliszcz i mogił ziemi ojczystej, świta zorza Niepodległości...

Przed stu laty umarł Ten, co był wodzem ostatnich rycerzy niepodległej Polski... Uległ przemocy wrogów, ale zostawił nam testament, który wiódł pokolenia przez lata niewoli w lepszą przyszłość... To też dziś, składając hołd spoczywającym na Wawelu prochom Kościuszki — czcimy nie tylko bohaterskie karty minionej przeszłości, ale z wiarą i otuchą stajemy u wrót nowej przyszłości — u wrót wolnej, niepodległej Polski, której ostatnim bojownikiem był Kościuszko...

Jego duch — po stu latach — wstaje dziś z grobów królewskich, aby ująć znów buławę hetmańską i wprowadzić nas do wolnej Ojczyzny.

Z dziejów budowy pomnika Kościuszki w Krakowie.

Sprawa budowy pomnika Kościuszki w Krakowie ma już swą historyę i to, niestety, dość długą. Pomnik przez czas dłuższy spoczywał ukryty w szopie na Podgórzu, aż wreszcie w r. 1911 został ustawiony prowizorycznie na dziedzińcu strażnicy pożarnej, gdzie do tej chwili oczekuje swego losu.

Inicyatywa do budowy pomnika wyszła z łona Tow. im Kościuszki za prezesury ś. p. Jana Skirlińskiego w r. 1893. W tym roku zebrano też pierwsze składki, a krakowska Rada miejska w odpowiedzi na podanie komitetu, który utworzył się z inicyatywy Towarzystwa Kościuszki, powzięła 7. grudnia tegoż roku uchwałę następującą:

„Rada m. Krakowa z gotowością każdego czasu i bezinteresownie odda pod pomnik Tadeusza Kościuszki grunt w Rynku głównym na przestrzeni od strony ulicy Sławskiej i na postawienie pomnika tamże zezwoli. Rada miasta zastrzega sobie zatwierdzenie planów pod budowę pomnika".

Opierając się na tej uchwale, zawarł komitet, któromu przewodniczył Jan Skirliński, umowę z prof.





Z dziejów budowy pomnika Kościuszki w Krakowie

Projekt pomnika na postumencie według rysunku kierownika budowy, p. Jana Swierzyńskiego. Figura pomnika, ustawiona prowizorycznie na dziedzińcu strażnicy pożarnej w Krakowie.

politechniki lwowskiej, artystą rzeźbiarzem Leonardem Marconim o model dla pomnika Kościuszki, mającego stanąć na zachodniej stronie Rynku, na przedłużonej osi Sukiennic ku ulicy Szewskiej. Prof. Marconi przybył do Krakowa i dla tego punktu wykonał dwa z rzędu modele, mały i średni. W czasie, gdy artysta przystąpić miał do wykonania ostatniego modelu, przeznaczonego do odlewu, śmierć go zaskoczyła. Wtedy wykończenia dzieła mistrza podjął się zięć jego, zaszczytnie znany, a dziś już także nie żyjący, artysta rzeźbiarz Antoni Popiel, który też w dniu 6. lutego 1900 r. oddał komitetowi model gipsowy pomnika, z którego dokonano rzeczywiście odlewu w jego dzisiejszym stanie.

We wszystkich fazach tworzenia modelów czuwała nad ich artystyczną wartością i opinię swoją wydawała komisya, do której oprócz członków komitetu budowy pomnika należeli: prezydyum m. Krakowa, Juliusz Kossak, rektor politechniki Zacharyewicz, dr. Władysław Łoziński, architekt Teodor Talowski, artysta rzeźbiarz Dykas, arch. Knaus i dyr. budownictwa miejskiego Wdowiszewski. Wreszcie w chwili odbioru modelu ostatniego interweniował, umyślnie w tym celu z Berlina do Lwowa przybywszy, Wojciech Kossak. Na podstawie jednomyślnej opinii tych rzeczoznawców, przyjmował komitet poszczególne modele i postanowił przystąpić do wykonania odlewu, który z powodu najrozmaitszych trudności został wreszcie wykończony w r. 1910.

W trakcie jednak tego długiego okresu czasu, wytwarzać się zaczęła w mieście opinia kilkunastu towarzystw krakowskich, które wystąpiły z całą forsą w organach własnych i w pewnej części prasy codziennej przeciwko postawieniu pomnika Kościuszki



Ku czci Kościuszki: Medal pamiątkowy, wybity według projektu artysty rzeźbiarza, prof. Jana Raszki.

na Rynku wogóle, a nadto przeciwko artystycznej wartości pomnika Kościuszki. Zaczęły wytwarzać się wątpliwości i skrupuły, których objawem między innemi była uchwała Towarzystwa upiększenia miasta, które przyznało komitetowi subwencyę w kwocie 10 000 koron pod warunkiem, że pomnik nie stanie na Rynku. Komitet oczywiście warunku tego nie przyjął i subwencyi też nie otrzymał.

Ostatecznie Rada miejska krakowska w dniu 10. lipca 1910 r. zwiedziła gremialnie odlew pomnika w fabryce podgórskiej i na posiedzeniu tegoż dnia odbytem, powzięła jednomyślnie uchwałę, upoważniającą prezydyum miasta, aby z decydującemi czynnikami wytyczyło pod budowę pomnika grunt w zachodniej części Rynku. Nadto na wniosek radcy m. Turskiego Rada miasta przyrzekła na budowę postumentu wydatniejszą subwencyę.

Dalsza akcya znowu jednak utknęła i dopiero setna rocznica zgonu Naczelnika postawiła sprawę pomnika na porządku dziennym — oby z lepszym skutkiem, niż dotychczas...

Ku czci Kościuszki.

Z okazyi stuletniej rocznicy zgonu niezapomnianej pamięci Naczelnika i sztuka polska stanęła też do apelu, by uczcić godnie owo prawdziwe święto narodowe. Bo jeśli kiedy, to właśnie dziś, w chwili tworzenia się niezależnego państwa polskiego, wspominać się musi tem goręcej nazwisko tego bohatera, którego jedyną myślą przewodnią w życiu było widzieć swą Ojczyznę wolną i zajmującą pośród państw europejskich to miejsce, jakie się Jej słusznie należało.



Ku czci Kościuszki: Medalion, praca artysty-rzeźbiarza, prof. Tad Błotnickiego.

Niestety, nie danem Mu było doczekać tej podniosłej i uroczystej chwili... Zmarł na obczyźnie, zdala od kraju rodzinnego, ale pamięć po Nim pozostała i pozostanie na wieki.



Pośrednictwo pokojowe papieża: Papież Benedykt XV.

Dziś, w stuletnią rocznicę Jego zgonu, cały Naród jednoczy się myślą o Nim i każdy stara się dorzucić swą cegiełkę, by ten obchód wypadł jak najwspanialej.

Z pomiędzy prac naszych artystów rzeźbiarzy poświęconych uczczeniu pamięci Naczelnika, wymienić należy w pierwszym rzędzie medalion, dzieło profesora Tadeusza Błotnickiego i pamiątkowy medal, pomysłu profesora Jana Raszki.



Po odwrocie Rosyan: Zburzone domy na rynku w Zaleszczykach.

Medalion profesora Błotnickiego to wierna kopia popiersia, zdobiącego sarkofag Kościuszki na Wawelu. Artysta wykonał go z całym pietyzmem na zamówienie Ligi Kobiet, która wedle niego poleciła sporządzić pamiątkowe odznaki na uczczenie setnej rocznicy zgonu wielkiego Syna Ojczyzny. Odznaka ta powinna w dniu obchodu ozdobić każdą pierś polską i zostać miłą pamiątką tych chwil, które teraz przeżywamy.

Medal pamiątkowy, kompozycyi profesora Raszki, wydany został przez warszawskie Towarzystwo numizmatyczne. Jest to wspaniała koncepcya w stylu klasycznym, panującym w epoce Kościuszkowskiej, a przedstawia alegoryczną postać, hartującą miecz w płomieniu ofiarnego ołtarza, na którym widnieje napis „Racławice".

Pośrednictwo pokojowe papieża.

Pomimo, iż wojna toczy się z coraz większą zaciętością, a może właśnie dlatego coraz dobitniej rozlegają się głosy pokojowe, które niewątpliwie są wyrazem pragnień wszystkich narodów. W tym chórze pokojowym najdonioślej rozległ się w ostatnich czasach głos papieża Benedykta XV., którego nota pokojowa tak wielkie wywarła wrażenie na całym świecie.

Państwa centralne, jak wiadomo, odpowiedziały bardzo przychylnie na notę papieża, która odbiła się głośnem echem we wszystkich państwach, omawiana w sferach oficyalnych, parlamentach i na zebraniach publicznych. Mimo więc, że nota papieska, jak dotychczas, nie osiągnęła realnych wyników i nie powstrzymała rozlewu krwi, należy mieć nadzieję, że rzucone przez donośny głos papieża ziarno pokoju musi wydać owoce, tembardziej, że Benedykt XV., niezrażony trudnościami, nie ustaje w dalszych zabiegach pokojowych.



Ku czci Kościuszki: Alegoryczna postać na odwrotnej stronie medalu.

Jak donoszą *Niews van den Dag* z Rzymu, na konferencyach, które odbyły się w zeszłym tygodniu w Watykanie, postanowiono prowadzić dalej dzieło pokoju.

Jak donoszą też ostatnie telegramy, stolica Apostolska ma niebawem oficyanie zaproponować stronom wojnującym pośrednictwo pokojowe. W interesie ludzkości należy pragnąć, aby stało się ono wreszcie podstawą pokoju, opartego na sprawiedliwości i wolności narodów.

Po odwrocie Rosyan.

W ostatnich walkach na froncie południowo-wschodnim, które zakończyły się wypędzeniem Rosyan z zajętych dotychczas powiatów Galicyi wschodniej i Bukowiny, odznaczyli się znowu chlubnie nasi dzielni „trzynastacy", którzy, jak wiadomo, pierwsi wkroczyli do oswobodzonych Czerniowiec. Zamieszczone w dzisiejszym numerze fotografie przedstawiają różne momenty z życia „trzynastaków" w tym okresie walki. Prócz tego podajemy kilka zdjęć z poburzonych przez uciekających Rosyan miejscowości.



Z frontów bojowych: Obóz tureckiej kawaleryi na południe od Jerozolimy. (Fot. Bufa).



Z frontów bojowych: Plac targowy w Kawalli (Macedonia) z kramami drobnych handlarzy. (Fot. Bufa).

Adam Wiaryga-Minieski.

MAŁŻEŃSTWO WOJENNE.

(Powieść z dni ostatnich.

19

— Co pani robi!... Na taki upał!... Toż można dostać porażenia słonecznego!...

— Ja się słońca nie boję!... Owszem, niech piecze, niech grzeje, niech pali!... Uuch! — wykrzyknęła, podnosząc głowę i mrużąc oczy, które blask oślepiał.

Wygięła w tył ramiona, przez co pod starą, ciasnawą bluzką silniej uwydatniały się jej cudnie zaokrąglone, jędrne, nieduże piersi.

Usta rozchyliły się, niby dojrzały owoc, który pękł z nadmiaru soków. Na twarzy miała wyraz żywiołowej, dzikiej rozkoszy.

Bronzowe włosy w słońcu śniły, jakby złotemi nićmi przetkane.

Łuniewski patrzył i nagle zaczął oddychać szybko, ciężko, nierówno.

Pochwycił Józię za rękę, nieco powyżej dłoni. Jego ręka była tak rozpaloną, że kobieta, która z lubością nurzała się w upale promieni słonecznych, odczuła to dotknięcie, jak sparzenie.

Drgnęła, przybrała naturalną swoją postawę i spojrzała pytająco na Łuniewskiego, którego oczy stały się zupełnie zielone.

— Co panu?... — zapytała, odsuwając się trochę od niego.

— Niechże pani da spokój!... Proszę włożyć kapelusz — zaczął przerywanym, zduszonym głosem. — To doprawdy szaleństwo!... Można zachorować!...

— Ach! Więc to była troskliwość o moje zdrowie?... Dziękuję panu... — powiedziała Józia z jakiemś nieokreślonem spojrzeniem, które mogło być zarówno wzruszonem, jak ironicznem.

Włożyła kapelusz, nie patrząc na swego towarzysza.

I znowu zapanowała cisza, wśród której słychać było tylko szelest ich kroków i przyspieszone nieco oddechy.

Tym razem kobieta przerwała pierwsza milczenie. Wskazując na pole owsa, obok którego przechodzili, zauważyła:

— Marnie w tym roku zboża rosną... Nic dziwnego... Późno zasiane, a teraz posucha...

— To pani zna się na gospodarstwie rolnem?... Skądże?... Urodzona i wychowana w mieście...

— Zeszłego roku całe lato aż do późnej jesieni spędziłam na wsi, u mojej przyjaciółki... Tam nauczyłam się wiele, podczas tego pobytu w Zalesinkach...

Łuniewski spojrzał zdziwiony.

— W Zalesinkach?... U pani Krystyny Wolskiej?...

— Pani Wolska bawiła wtedy w Szwajcaryi. Ja byłam u jej siostrzenicy i wychowanki, Anielki Walczakowej.

— Więc Anielka jest przyjaciółką pani?

— A pan ją zna?! — wykrzyknęła Józia.

— Oczywiście!... To moja kuzynka i znamy się od dzieciństwa.

— Pan jest kuzynem Anielki. Nie! Doprawdy, co za zdarzenie!...

— Czyżby w tem było coś tak nadzwyczajnego? Ja mam dużo kuzynek.

— No, ale nie takich, jak Anielka. Taka złota, kochana, jak ona, to jest tylko jedna na świecie! — oświadczyła Józia tonem, wykluczającym wszelką na ten temat dyskusyę.

— Pani tak bardzo ją lubi?...

— Czy lubię!... To żadne określenie „lubię“, Ja ją kocham, uwielbiam. Żeby pan wiedział, ile ona mi dobrego zrobiła! Gdyby nie ona, to oho!... Zginęłabym marnie, jak ruda mysz... Kto wie, coby ze mnie było, a możeby mnie już wcale nie było!...

— Czy pani nie zamierza tego roku pojechać do Zalesinek? — zapytał żywo Łuniewski, któremu zaczął świtać w głowie pewien plan.

Józia posmutniała.

— O! Nie — odpowiedziała cicho — nie mogę jechać do Zalesinek.

— Dlaczego? Czyżby mąż pani był przeciwny temu...

— I to także... Konrad i Anielka jakoś nie bardzo sympatyzują ze sobą... Ale to byłaby przeszkoda drugorzędna... Jest coś ważniejszego...

— Czy wolno zapytać, jaka to przeszkoda? Nie pytam przez ciekawość, ale może pomógłbym usunąć...

— Nicby pan nie pomógł, a powiedzieć panu nie mogę... Ale mój pobyt w Zalesinkach obecnie jest niemożliwy — absolutnie niemożliwy!...

— To krzywda dla pani, że pani nie może jechać...

— Nie krzywda, to z mojej własnej winy...

— Co ona tam zbroiła? — pomyślał Łuniewski. — Czyżby było coś z Walczakiem?... Ale chyba nie... Może to ta historya z nauczycielem ludowym... W każdym razie dobrze wiedzieć, że one się tak przyjaźnią z Anielką...

Dla Józi wiadomość o pokrewieństwie Łuniewskiego z Walczakową była miłą niespodzianką, podnieciła ją, ożywiła i do rozmowy wprowadziła odrazu cieplejszy, poufalszy ton.

Józia, rada, że ma z kim mówić o przyjaciółce, rozgadała się na dobre. Opowiadała o swojem poznaniu się z Anielką, o pobycie w Pradze i kilkakrotnie powtarzała, że nie rozumie, dlaczego ją ta śliczna, najmądrzejsza, najlepsza Anielka tak polubiła, chociaż mogła mieć innych przyjaciółek dosyć do wyboru.

— Ale ja rozumiem, dlaczego... — odpowiadał jej w myśli Łuniewski.

I on się teraz rozkrochmalił zupełnie, a z twarzy jego znikł gdzieś ironiczny grymas, jakby się rozpłynął w szczerym, swobodnym uśmiechu.

Nagle Józia zatrzymała się i wskazując na rosnący na dość stromem urwisku krzak dzikiej róży, obsypany bogatem różowem kwieciem, zawołała:

— Muszę sobie narwać tych róż...

— Ja pani urwę...

— Pokłuje się pan, podrapie...

— Myśli pani, że mi to pierwszyzna?!... Swojego czasu niezgorszy był ze mnie urwisz...

— Ejże!... Doprawdy... Jakoś tego nie widać... No, zobaczymy, jak pan sobie da radę z tą różą... Tylko, jak się pan pokaleczy, to proszę nie płakać!...

— Niech się pani nie obawia... Nie będę płakał...

Józia usiadła na trawie i przypatrywała się z ciekawością, jak Łuniewski mocuje się z kolczastemi gałęziami. Kolce czepiały się jego ubrania i drapały mu ręce.

— Dosyć, dosyć już będzie... — wołała.

Z tryumfem podawał jej kilka gałązek, na których drżały nietrwałe kwiaty róż...

Ręce miał, jak przewidywała Józia, pokłute, a jeden palec tak rozorany jakimś zadzierzystym kolcem, że krew wystąpiła dużemi kroplami.

— Boże!... Pan się skaleczył!... Dla mojego kaprysu!... Dziękuję panu! Cudne róże! Ale ten pański palec!...

— Głupstwo!...

— Ja go panu zaraz obmyję!...

Położyła róże ostrożnie na ziemi i wyjęła z za paska chusteczkę. Zmoczyła ją w małym, wąskim strumyczku, który cicho i sennie szemrał bliski wyschnięcia i zaczęła troskliwie obmywać krople krwi.

Łuniewski stał bez ruchu, wdychając zapach jej włosów.

Szła ku niemu od niej fala rozkosznego upojenia, serce zaczynało bić prędko i mocno...

A jednocześnie drugi człowiek, gdzieś w głębi, chichotał:

— Spacery, wierszyki, rwanie róż... Sztubacka sielanka... Tylko, czy koniec będzie równie sentymentalny?... I jaki będzie ten koniec?...

Oczy jego z pochylonej głowy Józi spłynęły na jej rękę, w której trzymała chusteczkę, i na ślubną obrączkę.

— No, już dobrze — zadecydowała Józia, wykręcając mokrą chusteczkę — już krew nie idzie... Zgoi się do wesela...

— Do czyjego wesela?...

— Jakto do czyjego?... Oczywiście, że do pańskiego, bom ja już przecież mężatka...

— Jaki koniec?... Jaki koniec?... — załopotało Łuniewskiemu znowu po głowie.

— Taki będzie koniec, jaki zechcę — powiedział sobie mocno i twardo, ogarniając postać Józi władczem spojrzeniem mężczyzny, który zdobyć chce i musi.

— Nie chcę tak!... — zawołała nagle, kapryśnie Józia.

Łuniewski drgnął.

— Co! Czego pani nie chce?!...

Pokazała mu zerwane przed chwilą róże.

— O! Już kilka płatków opadło!... Szkoda! Takie śliczne i pan się tyle namęczył, zrywając!...

— Jeżeli pani przeszkadzają, to niech pani rzuci...

— Co to, to nie... Przypnę sobie do bluzki... Widzi pan, doskonale! ... Ładnie, prawda?...

— Bardzo ładnie — odpowiedział, zaglądając w jej roześmiane oczy, które miały teraz barwę najczystszych turkusów.

— Idziemy dalej, pani Józiu... Chyba, że pani zmęczona i chce odpocząć...

— Wcale nie jestem zmęczona... A dokąd pójdziemy?...

— Tam, pod las.

— Nie, nie chcę do lasu. Wolę ku tym polom ziemniaczanym. Widać tam jakieś kobiety... okopują ziemniaki... Pogadam sobie z niemi.

Poszli dalej — szerokim padołem łąkowym, porosłym trawą i okrągłymi liśćmi podbiału.

Po chwili milczenia Łuniewski zaczął:

— Pani Józiu, prawda, że mi się należy nagroda?...

Józia przekrzywiła trochę głowę, jak ptak, który się czemuś ciekawie przypatruje.

— Nagroda?... A za co?...

— No, choćby za to — wskazał róże przy jej bluzce i swój skaleczony palec.

— Tak! A to pan taki interesowny? Za taką drobnostkę już się żąda nagrody... Dobrze, że wiem... Będę się wystrzegała na przyszłość... Bo cóżby to było, gdyby sobie pan nie jeden tylko palec, ale naprzykład całą rękę skaleczył!...

— Ach! Ty mała żmijko, poczekaj!... — pomyślał, ale gniewać się nie mógł, bo była zanadto ładna i ponętna z pogardliwie-filuterną minką i szelmowsko przymrużonemi oczyma.

— Mimo tak niepochlebnego sądu, będę konsekwentny i poproszę: Niech mi pani coś zaśpiewa...

Twarz Józi rozjaśniła się słonecznym uśmiechem dziecinnej uciechy.

— To panu o mój śpiew chodziło?!...

— A pani myślała, że o co?...

Spojrzał jej w oczy tak zuchwale i przenikliwie, że, zmieszana, zaczęła mówić bardzo szybko:

— Zaśpiewam, owszem, nawet chętnie... Taki spacer usposabia przecież do śpiewania... Ja zresztą często czuję w sobie taką silną chęć, żeby dużo mówić, głośno się śmiać, biegać i śpiewać na umór... A nie mogę teraz — muszę milczeć, jak ryba i siedzieć grzecznie, jak chińska figurka z porcelany.

— Dlaczego?

— Bo moja świekra wolałaby z pewnością przysłuchiwać się rykom obdzieranego żywcem ze skóry krokodyla, niż słuchać mojego śpiewu, albo śmiechu...

— Tak?...

— A rozumie się. Raz mi się zachciało zabrzdąkać trochę na fortepianie... Wiem, że nie gram artystycznie, ale nie fałszuję przecież... Poszłam do salonu, ale ona mi dała fortepian!...

— A niedawno zapewniała mnie pani, że stosunki ze starszą panią Żarnicką są niezwykle harmonijne...

Józia spostrzegła dopiero teraz, że powiedziała za dużo. Zaczerwieniła się.

— Ech! Nie... bo...

— Nie niebo, pani Józiu, nie niebo... Niech się pani nie wysila napróżno na wykręty, bo ja i tak wiem, co mam o tem myśleć...

— A co to pana obchodzi?...

— Pewnie, że nic... A może trochę... W każdym razie wolno mi robić obserwacye...

— Że też ja się zawsze muszę niepotrzebnie z czemś wygadać!... — mówiła, szczerze zafrasowana.

— Jeżeli pani chodzi o tajemnicę, zapewniam, że jestem dyskretny... Ale pani obiecała śpiewać... Czekam...

— Kiedy już nie mam ochoty...

— To się tylko pani tak zdaje... Proszę spróbować...

— Niech i tak będzie... A co panu zaśpiewać?...

— Co pani chce.

— A jakie piosenki pan lubi?

— Wszystkie, byle tylko ładne...

— Ano, to zaśpiewam, co ja lubię... Może się panu spodoba, a nie, to trudno...

Józia zapatrzyła się w dal, odetchnęła głębiej i pełnym głosem zawiodła bezpretensyonalną piosenkę, dziwnie harmonizującą z jej wiośnianą postacią i z otoczeniem, przesyconem słońcem i zielenią.

„Żyło we wsi dziewczę hoże,
Cudne, niby polny kwiat,

Jak płaszcza żyło Boże,
Śmiał ci się jej cały świat!"

Chłopcy z całej wsi ofiarowują dziewczynie serca i proszą o wzajemność...

„Lecz dziewczyna odrzucała
Wszystkich chłopców serca dar.
Ach! Bo jeszcze nie zaznała,
Co to jest miłości czar.

Aż raz przyszedł w strony owe
Piękny chłopiec z obcych stron,
Za skarb skrzypki miał lipowe,
W sercu cudnych piosnek ton.

Odtąd tylko był jej miły
Piękny chłopiec z obcych stron,
Skrzypki mu swatami były
I miłosnej piosnki ton"...

Ostatnia nuta przeciągle zabrzmiała w czystem powietrzu i umilkła.

— Dziękuję... I proszę o jeszcze...

— Nie, nie teraz... Może później...

Zadumała się Józia i przyciszonym głosem mówić poczęła:

— Widziałam raz obraz, już nie pamiętam czyj, zatytułowany: „Skrzypki mu swatami były". Krzepki, barczysty parobek w czerwonej katance, z zadzierzystą miną, gra na skrzypcach tęgiej, rumianej, wiejskiej dziewczynie, która śmieje się od ucha do ucha... Nie podobał mi się ten obraz wcale a wcale... Bo ja sobie to dziewczę „cudne, niby polny kwiat" zupełnie inaczej wyobrażam...

— A jakże?

— Ona ma być smukła, powiewna, subtelna, złotowłosa — no taki naprawdę cud... A on powinien mieć rozrzucone, trochę w nieładzie, jasne włosy, twarz szczupłą, ściągłą, usta blado-różowe i duże, szare, rozmarzone oczy.. I niech będzie bardzo młody, młodziutki...

Józia, mówiąc to, sama nie zdawała sobie sprawy z tego, że owiało ją nagle wspomnienie Adasia Zmorskiego, wspomnienie miłe i subtelne, jak kwietny puch...

— Tak pani tego grajka plastycznie maluje — zauważył Łuniewski, spoglądając na nią badawczo — że musi pani chyba mieć przed oczyma jakiś żywy wzór.

Józia zastanowiła się.

— A rzeczywiście... Ma pan słuszność... Znałam jednego takiego młodziutkiego chłopca, który „za skarb skrzypki miał lipowe — w piersi cudnych piosnek ton"...

— I kochał się w pani, prawda?...

— Prawda.

— A pani?...

— Ja, nie... Byłam zresztą już narzeczoną Konrada... Ale lubiłam go bardzo, a właściwie tę jego muzykę i jego miłość... Bo to była tak ładna miłość... taka inna, rozumie pan...

— A czyż może być brzydka miłość, pani Józiu?..

— Może — odpowiedziała krótko i jakoś twardo.

Weszli znowu między pola i wkrótce znaleźli się obok kobiet, okopujących ziemniaki.

— Szczęść Boże! — zawołała Józia.

— Daj Panie Boże!... — odpowiedziały chórem kobiety, obrzucając nadchodzącą parę ciekawemi spojrzeniami.

Józia uśmiechnęła się do nich po swojemu.

— Jakże tam robota idzie? Ziemniaki dobre?

— Gdzie ta dobre!... Ziemia taka twarda, że kopaczką chycić nie poredzi! Karze Pan Bóg takiem suchem... — odpowiedziała kobiecina, wyglądająca tak staro i cherlawo, że w podziw musiała wprawiać jej siła i energia przy pracy.

— Deszczu by, deszczu!... — westchnęła najbliższa jej towarzyszka.

— Nic przez Boskiej woli!

Inna kobieta, młoda jeszcze, zdrowa, rumiana i to, co na wsi nazywają „świarna", przerwała sobie robotę i opierając się na motyce, zagadała:

— A że to się państwo wybrali na „spacyr" w taki „gorąc"...

— Zawsze tu świeżej i chłodniej, niż w mieście — odpowiedziała Józia.

— A juści, że zawdy przyjemniej...

— Daleko jeszcze do wsi? — zapytał Łuniewski, ocierając chustką pot z twarzy.

— Iii... nie tak ta bardzo... jak pójdziecie tym „brzyzkiem" kole tego padoła, a później kole łączek to i rychle zajdziecie...

— A mleka kwaśnego dostaniemy gdzie?...

— Pewnie, że ta państwo gdziesi dostaną, choć ta na mleko nie „rety" teraz, bo paszy mało... Przez tę suchość, krowy mleka dają mało...

— Ale dla nas wystarczy jeszcze... — uśmiechnął się Julian.

— To się wie, że starcy i dla pana i dla panowej panienki...

— O! ja nie jestem wcale tego pana i nie jestem już panienką — zawołała żywo Józia — mam męża, tylko, że mój mąż przy wojsku...

W oczach owej „świarnej" kobiety zapaliły się iskry domyślnej złośliwości, a szerokie, pełne, ponsowe jej usta rozciągnął znaczący uśmiech.

Na pomarszczonej, wyschłej twarzy babiny, tak krzepko machającej kopaczką, ukazał się wyraz nietajonego niezadowolenia. Surowym wzrokiem ogarnęła młodą mężatkę i jej towarzysza.

— Ha no! Różne bywają chłopy, różne i baby... Kto długo żyje ten się wszelenijakiego zgorszenio dosyć naobziro... — odezwała się wreszcie filozoficznie, ale w tonie jej głosu zabrzmiała wyraźna nagana.

Dwie dziewuchy naciągnęły chustki głębiej na czoło i zachichotały...

Starsze ich towarzyszki nie śmiały się wprawdzie, ale uśmiechały się w specyalny sposób.

Józia nie poznała się na tej nagłej zmianie nastroju, ale spostrzegł ją odrazu i zrozumiał Łuniewski.

Wstrząsnął nim gniew na te zbyt domyślne baby i na Józię za to, że się odezwała tak nie do rzeczy.

— Musiała się pochwalić swojem zamężciem!.. Miała też czem doprawdy! — kipiał cały wewnętrzną złością.

— I jak to zaraz pospieszyła zapewnić, że ona „wcale nie jest tego pana".

— Zobaczymy!... — miał ochotę krzyknąć.

Przygryzł jednak tylko wargi i blady z rozdrażnienia, rzucił rozkazującym prawie tonem:

— Proszę pani, idziemy dalej!

Spojrzała zdziwiona, ale usłuchała, bo było coś w jego głosie i pałających gniewnie oczach, co zmuszało do posłuszeństwa.

Przyjaźnie skinęła kobietom głową.

— Zostańcie z Bogiem! Niech będzie pochwalony!...

— Na wieki wieków. Amen! — odpowiedziały tylko dwa głosy.

Inne kobiety zapomniały odpowiedzieć na zbożne pozdrowienie, bo z takiem wielkiem zainteresowaniem śledziły młodziutką „żołnierkę", która sobie spaceruje sam na sam z „kawalirem"...

— Moiściewy, mało mu te ślipia z głowy do niej nie wylezą!... — mruknęła jedna.

— Powinien ten mąż, jak wróci od wojska, rzemienia chwycić, a i czego twardszego!...

— Tako młodziutko i tak jej poczciwie z oczu patrzy!...

— Żeby ona co poczciwego była, toby się grzechu strzegła!... Mało to i u nas we wsi takich „lofrów"...

Józia i Łuniewski uszli już kilkanaście kroków, kiedy owa najstarsza babina przesłoniła dłonią wypłowiałe oczy i jęła spoglądać na niebo, na którem ukazały się kłęby białych chmurek.

Wynikiem tej obserwacyi było to, że obróciła głowę ku odchodzącym i zawołała:

— Państwo!... Państwo!... A poczekajcie no!...

Przystanęli i Józia postąpiła kilka kroków z powrotem.

— A czego to chcecie, babusiu?...

— Niech się państwo pospieszą, bo się chmura... Ani chybi, będzie deszcz...

— Tak? A to dziękujemy bardzo za przestrogę. Będziemy się spieszyli. Zostańcie z Bogiem.

Jasne spojrzenie Józi i jej uroczy uśmiech dokonały swego. Twarz babiny złagodniała.

— Boże prowadź panią — wyrzekła jakimś uroczystym tonem, który zabrzmiał jak błogosławieństwo.

— Matko „krzesna" — zagadała znowu ta rumiana, zgrabna kobieta — a cóż wy ich tak przestrzegocie o ten deszcz... Oni się może deszcza nie boją... Przycupną se gdzie w lesie pode drzewem, to co im bieda zrobi...

Rozległ się głośny śmiech, ale stara nie zawtórowała...

— Nie powiadaj „proźniaków" Wikta, bo to i obraza Boska i dziewuchy słuchają!... — zgromiła surowo.

Energicznie zabrała się do okopywania i odwalając jedną grudkę ziemi za drugą, dodała jeszcze:

— Juści, że nie powinna innych chłopów patrzyć, kie swojego ma... Ale kto ją ta do reśty wie... Miastowe obyczaje inaksze... A niema gadki, że to temu poćciwie z oczu wyziro, bo poćciwie.

Józia i jej towarzysz nie słyszeli tego wszystkiego, bo uszli już spory kawałek drogi.

Milczeli oboje, a Łuniewski, zirytowany, szedł tak szybko, że mu Józia ledwie nadążyć mogła.

— Ależ, proszę pana, czego my tak lecimy?

Spojrzał na nią iskrzącemi się oczyma.

— Poco pani wtajemniczała te baby — zapytał szorstko — w swoje familijne stosunki. Co je to mogło obchodzić, czy pani jest, lub nie jest mężatką i co się dzieje z pani mężem?!

— Ależ te kobiety brały mnie za narzeczoną pańską!

— Więc cóż z tego?!

— Panie, to przecież niepodobna...

— Niby dlaczego?

— A cóżby Konrad na to powiedział... I ja sama nie chcę, żeby mnie za czyją inną uważali żoną!...

Łuniewski ścisnął tak zęby, że zgrzytnęły. Na policzki wystąpiły mu dwie niewielkie plamy czerwone, które ciekawie odbijały od jego bladawej, kobieco-delikatnej cery.

Czy ona rzeczywiście tamtego fircyka tak kocha, czy to jest tylko kokieterya?! Przecież przez te oczy nie przegląda dusza Penelopy!...

— Co za przykładna nadczuła wierność — zadrwił — i przez to naraziła się pani na bezczelne spojrzenia i z pewnością niepochlebne komentarze tych bab!...

Józię tak zastanowiło to, co mówił, że zapomniała obrazić się jego szorstkim tonem.

— Jakto, co pan chce powiedzieć?...

— Czy pani doprawdy tak naiwna?!... Nie domyśla się pani, jakiego rodzaju wnioski mogły snuć sobie po tem budującem pani wyjaśnieniu?...

Młoda kobieta zmieszała się.

— A może one miały racyę — wyrzekła niepewnie. — Może ja nie powinnam iść z panem sama tak daleko... Że też to wcześniej się nie zastanowiłam...

— Ciekawym tylko, czy pan Konrad tak skrupulatnie zastanawia się, jeżeli mu wypadnie iść na spacer z jaką ładną Węgierką!... O ile pamiętam, lubi bardzo ogniste brunetki!...

Ostry kolec dobrze wymierzony, utkwił w sercu młodej kobiety. Nie miała ona wcale bezwzględnego zaufania do stałości swego męża.

I wstrząsnęła się na wzmiankę o przypuszczalnym spacerze Konrada z ognistą brunetką...

Łzy zamigotały jej w oczach, wargi wydęły się, jak u zadąsanego dziecka.

— Zły pan jest, niedobry!... — zawołała. — Dokucza mi pan!... Nie chcę pana znać!... Niech sobie pan sam idzie dalej!...

Zawróciła gwałtownie.

Dwie łzy, jak jasne perły, toczyły się po policzkach nieocierane.

— Pani Józiu!...

Jednym skokiem był przy niej i chwycił ją za rękę.

— Niech pan sobie idzie!...

— Przepraszam panią, byłem chamski, brutalny, ordynarny! Niech mi pani nagada, niech mnie pani nawymyśla, ale proszę darować!...

— Pan był niedobry!... — powtórzyła cicho, bo rozdrażnienie zaczęło w niej już ostygać.

— Tak, byłem niedobry, ale już nie będę!... Tylko niech mi pani przebaczy!...

— Nigdy pan już...

— Nigdy!...

— No, jeżeli pan przyrzeka, to... to ja się już nie gniewam!...

Uśmiechnęła się do niego przez łzy jeszcze.

Patrzył oczarowany i wzruszony do głębi.

— Dzieciaku mój cudny — wołało w nim coś. — Dlaczego ciągle on... ciągle tamten!...

— — — — — — — — — — — — — — — —

— Proszę pana, czy pan oniemiał?... Milczy pan i milczy już chyba od dziesięciu minut.

— Chce pani, żebym mówił?...

— A rozumie się. Rozgniewał mnie pan, rozdrażnił, to proszę teraz bawić!...

— Jak mam panią bawić?...

— Jak?... Wie pan co, niech mi pan zadeklamuje jaki ładny wiersz... Szalenie lubię piękną deklamacyę.. Byłam raz na koncercie takim, co to i śpiew, muzyka i deklamacya... Deklamował Adwentowicz, cudnie... Przez cały tydzień później marzyłam o nim...

(Ciąg dalszy nastąpi.)





„Trzynastacy“ przechodzą w nocy przez Prut pod Kołomyją **Po odwrocie Rosyan:** „Trzynastacy“ po wkroczeniu do Czerniowiec.

Wojna domowa w Rosyi.

Wypadki w Rosyi postępują z pewną dramatyczną logiką ku rozwiązaniu, które może być albo katastrofą państwa, albo konsolidacyą rewolucyi na nowych podstawach. Ostatnie tygodnie przyniosły szereg faktów, bardzo znamiennych dla nastroju rosyjskiego społeczeństwa i dla prądów, ścierających się obecnie z żywiołową siłą na olbrzymiem terytoryum rosyjskiego państwa. Co z nich wypłynie — okaże dopiero przyszłość.

Krwawy prolog rozegrał się na ulicach Petersburga, gdzie „bolszewicy“ (socyaliści-maksymaliści) podjęli próbę przeniesienia słynnej kronsztadzkiej republiki do pobliskiej stolicy. Rozruchy rozpoczęły się tak niespodziewanie, że w pierwszym dniu ani rząd tymczasowy — w nieobecności Kiereńskiego — ani wydział wykonawczy Rady robotników i żołnierzy nie umiały zdać sobie sprawy z ich charakteru, ani im przeciwdziałać. Wkroczyli zatem do miasta dobrze uzbrojeni marynarze, do których przyłączyło się kilka batalionów załogi petersburskiej, dawniej rozagitowanych i część robotników z tak zwanej „petersburskiej i wyborgskiej strony“. Ten tłum, prowadzony zresztą bezładnie przez kilku fanatycznych zwolenników Lenina, propagatora natychmiastowego pokoju, opanował chwiliwo całe centrum miasta, znajdując oparcie w głównym sztabie anarchistów, przebywającym dotychczas, pomimo kilku wyroków sądowych, w pałacu Krzesińskiej. Między innymi twierdza Petropawłowska znalazła



Wojna górska: Transport rannych w Alpach.

się w rękach buntowników, skąd, jak wiadomo, można bez trudności zbombardować całe miasto. Hasłem bolszewików było: „Precz z rządem tymczasowym!“ — Ale i Rada robotników nie uzyskała ich łaski. Pałac taurydzki, gdzie urzęduje komitet wykonawczy Rady, został obstawiony przez żołnierzy. Na mostach rozpoczęły się odosobnione utarczki z milicyantami i kozakami, pełniącymi służbę bezpieczeństwa. Na Newskim Prospekcie, na Litejnej, nad Kanałem Ekaterińskim przyszło do krwawych starć, których powodu nikt dobrze nie rozumiał.

Dopiero, gdy kilkadziesiąt trupów padło na ulicach, gdy widocznem się stało, że anarchiści mogą opanować cały Petersburg i spowodować straszliwą rzeź mieszkańców, obecni w Petersburgu członkowie rządu i komendant stolicy jenerał Połowcew porwali się do energiczniejszych kroków. Przekonano się, że można liczyć bezwarunkowo na kozaków, a do pewnego stopnia na pułki: siemionowski, wołyński, preobrażeński i strzelców. Reszta załogi przeszła na stronę anarchistów. Z tych sił zorganizowano na prędce obronę. Pierwsi rzucili się do walki kozacy, którzy stoczyli formalne bitwy ze zbuntowanymi pułkami i motłochem ulicznym. Przez dwa dni walczono zaciekle na ulicach miasta; wreszcie szala przechyliła się na stronę rządu. W każdym razie straty w ludziach były bardzo znaczne. Pod wieczór drugiego dnia buntownicy byli już wyparci z centrum miasta; twierdza Petropawłowska poddała się po rzuceniu na nią kilku granatów. Następnie wojska rządowe zdobyły szturmem wyspę Wasiliewską i przedarły się do wy-



Wojna domowa w Rosyi: Karabiny maszynowe rozpraszają na Newskim Prospekcie w Petersburgu zwolenników Lenina, demonstrujących przeciw tymczasowemu rządowi rewolucyjnemu.



Po odwrocie Rosyan: Zburzone domy w Nadwórnie.

borgskiej strony. Bunt został stłumiony, głównie jednak dlatego, że nie miał zdecydowanych i świadomych celu przywódców. Lenin, Zinowiew i inni znani anarchiści ukryli się starannie podczas rozruchów; w pałacu Krzesińskiej opanowanym przez wojsko nie znaleziono nikogo.

W czasie krótkiego swego panowania w stolicy, komuniści-rewolucyoniści, jak sami siebie nazywają, wydrukowali w drukarni *Nowego Wremieni*, którą na prędce skonfiskowali, kilka odezw. Żądają w nich konfiskaty wszystkich prywatnych i bankowych kapitałów, zniesienia własności prywatnej, ukarania członków rządu tymczasowego i oddania władzy w ręce „ludu".

Był tam także ustęp o zakończeniu wojny, po-



Wojna górska: Zakładanie drutów telegraficznych w Alpach.

wszechnem rozbrojeniu i braterstwie narodów. Odezwy, które obficie rozrzucano, nie wywarły wielkiego wrażenia, zwłaszcza, że zwolennicy „bolszewików" należą przeważnie do kategoryi analfabetów. Charakterystycznem było, że na odezwach nie zamieszczono żadnych nazwisk i dotychczas nie zdołano sprawdzić, kto właściwie rozruchami kierował. Zbuntowane pułki rozbrojono i na trzeci dzień względny spokój zapanował w mieście. Dopiero teraz zdano sobie sprawę z rozmiarów niebezpieczeństwa, a przebieg rozruchów, wśród których zrabowano dużo prywatnych domów i mordowano bez



Po odwrocie Rosyan: Palący się dworzec kolejowy w Czerniowcach

miłosierdzia spokojnych przechodniów — ochłodził znacznie sympatye inteligencyi i mieszczaństwa dla teoryi anarchistycznych.

Pierwszym następstwem petersburskich wypadków była reorganizacya Rządu tymczasowego, podjęta na podstawie kompromisu ze stronnictwami burżuazyjnemi. Przedtem Rada robotnicza sprzeciwiała się stanowczo wszelkim układom z kadetami, którzy manifestacyjnie złożyli swoje teki; mordy jednak krwawe i rozruchy wykazywały ponad wszelką wątpliwość, z której strony zagraża rewolucyi największe niebezpieczeństwo; sam Ceretelli postawił wniosek o stworzeniu gabinetu koalicyjnego. Było to zwycięstwo myśli Kiereńskiego, który pierwszy sprzeciwił się tworzeniu rządu z samych socyalistów. Dalej musiał ustąpić z gabinetu Czernow, gorliwy szermierz podziału ziemi, a w końcu zdecydowało to o zwołaniu „narodowego kongresu" do Moskwy dla przeciwdziałania przewrotnej propagandzie „bolszewików". Wszystkie te rozsądne i umiarkowane kroki byłyby niemożliwe bez petersburskiego buntu, który najbardziej zaślepionym otworzył oczy.

Rząd postanowił dalej wytoczyć śledztwo karne o zdradę stanu przeciwko Leninowi, Kozłowskiemu, Zinowiewowi i Kołontajównie, to jest przeciwko głównym przywódcom anarchistów pacyfistów. Aresztowano Kozłowskiego i Kołontajównę. Lenin ukrył się, czy też, jak chcą niektórzy, zbiegł, przebrany za marynarza do Finlandyi, a stamtąd do Sztokholmu.

Gdy rewolucyjny rząd tymczasowy z Kiereńskim na czele uporał się wreszcie z Leninem i jego zwolennikami — stanął znowu wobec nowego niebezpieczeństwa, tym razem ze strony żywiołów bardziej umiarkowanych, a dążących do stłumienia panującej obecnie w Rosyi anarchii. Po Leninie wypowiedział wojnę Kiereńskiemu jen. Korniłow. Ale i tym razem, jak wiadomo, wojna domowa w Rosyi skończyła



Z frontów bojowych: Zburzony przez włoską artyleryę grobowiec w Dnino. (Woj. kwat. pras.)





Wojna górska:
Artylerya austryacka ostrzeliwuje nieprzyjacielskie pozycye w Alpach. Granica trzech państw w Alpach z drogą wykutą w skale, a prowadzącą na stronę nieprzyjacielską, w wysokości 2800 m.

się zwycięstwem Kiereńskiego. Czy na długo — trudno dziś przewidzieć. Nie ulega jednak wątpliwości, że obecny rząd rosyjski z trudem utrzymuje się u władzy, zmuszony walczyć na dwa, a nawet trzy fronty. Bo poza knowaniami reakcyonistów,



Wojna górska: Wojskowy przewodnik alpejski, tutejszy turysta p. Zdzisław Rittersschild.

kuszących się o przywrócenie władzy carskiej, zagrażają mu z jednej strony krańcowi fanatycy socyalizmu, a z drugiej — liberalne mieszczaństwo i pewna część kół wojskowych, których przedstawicielem był właśnie Korniłow. Te przeciwieństwa kilkakrotnie już wywoływały widmo wojny domowej w Rosyi, a ulice Petersburga i innych miast rosyjskich czyniły widownią ciągłych manifestacyi, za-



Z frontów bojowych: Z walk nad Soczą. W oczekiwaniu ataku gazowego. (Woj. kwat. pras.)

burzeń, a nawet krwawych walk. Takie krwawe rozruchy, wywołane niedawno w Petersburgu przez socyalistycznych „bolszewików" przedstawia właśnie nasza illustracya. Jest to reprodukcya autentycznego zdjęcia, zamieszczonego w jednym z pism rosyjskich.

Wojna górska.

Wojna obecna nie cofa się przed żadnemi trudnościami. Ujarzmiwszy dla swych celów wszystkie zdobycze techniki, nie zna żadnych przeszkód, bo opanowała nawet głębiny morza i przestworza powietrzne! Nic też dziwnego, że nie ulękła się najbardziej niedostępnych terenów górskich, gdzie również — wśród lodowców i wiecznych śniegów — huczą armaty i wre zacięta walka. Widownią takiej górskiej walki





Wojna górska:
Jedno ze schronisk alpejskich. Z boku wejście do kawerny w lodzie wykutej. Góra Ortler, najwyższy punkt wojny światowej (3902 m. nad poziom morza). Lód i śnieg przez cały rok.



Z frontów bojowych: Szczątki włoskiego pocisku 38 ctm. w Gorjańsku (Woj kwat. pras.)

są Alpy na włoskim froncie. Z jakimi trudnościami jest ta walka połączona, nie potrzeba chyba wyjaśniać. Tam, gdzie do niedawna jedynie odważni turyści docierali — muszą posuwać się armie, trzeba budować pozycye i wciągać armaty.

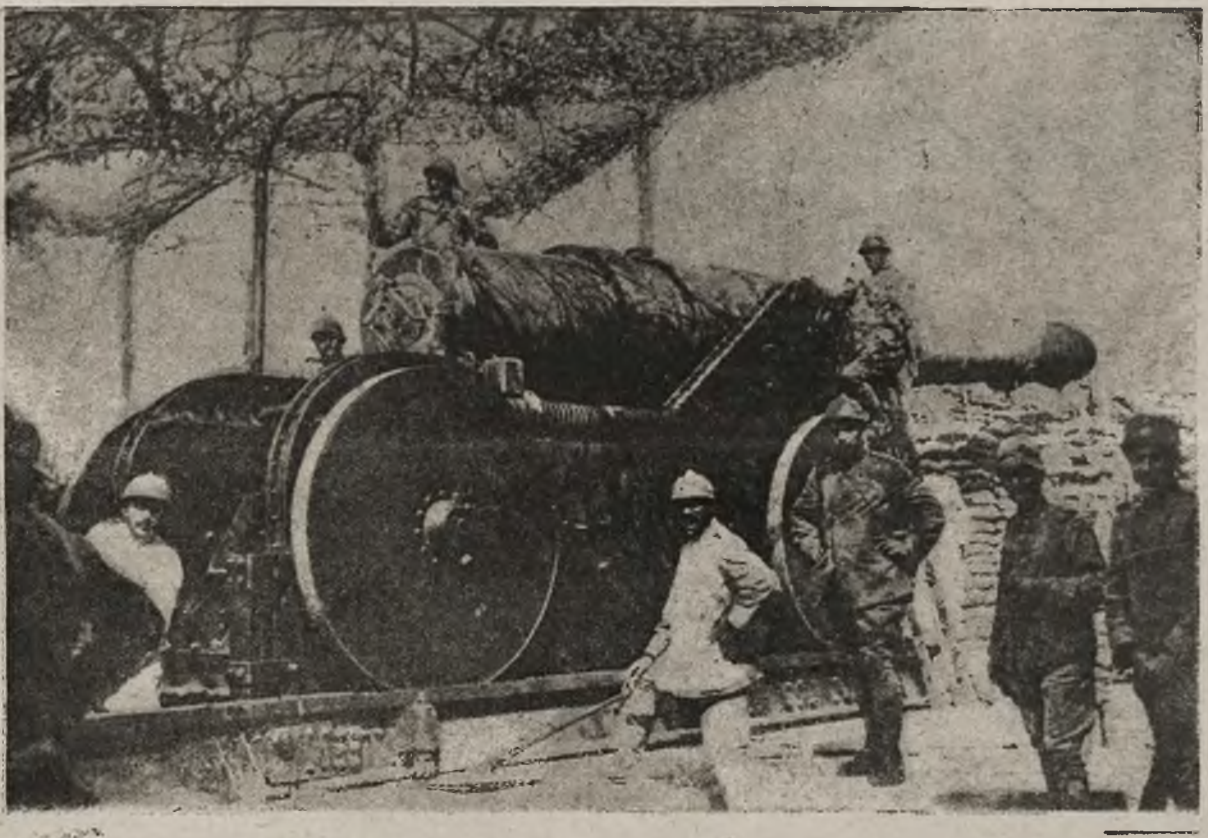
Naturalnie, dla prowadzenia takiej walki potrzeba specyalnie wyszkolonych i zaprawionych do górskich przepraw ludzi. To też na froncie tyrolskim skoncentrowano najlepszych turystów i narciarzy z całej Austryi i Węgier, jak również prawie wszystkich alpejskich zawodowych przewodników. Utworzono z nich stałe oddziały przewodników górskich pod dowództwem głośnego turysty narciarza i twórcy szkoły alpejsko norweskiej, majora Bilgeri'ego. Zadaniem tych oddziałów jest ubezpieczanie wszelkich przejść górskich, rzucanie mostów przez szczeliny lodowcowe, jak również przeprowadzanie oddziałów i patrolów górskich.

W alpejskich oddziałach przewodników nie brak i naszych sportsmenów, wśród których zyskał już uznanie za dzielną służbę tutejszy turysta p. Zdzisław Rittersschild.

Z frontów bojowych.

Ostatnie biuletyny z frontów bojowych nie przyniosły w gruncie rzeczy nic nowego, prócz wiadomości, że trzecia bitwa na odcinku flandryjskim rozgorzała na nowo. Niemcom udało się śmiałym atakiem na Gheluvelt odzyskać na nowo część utraconego w dniu 20. września terytoryum, gdy tymczasem Anglicy skierowali się tym razem na wąski kawał ziemi pomiędzy wielką drogą Ypres Gheluvelt-Menin i lasem Polygon. Czterokrotnie szli do szturmu i tyleż razy zostali przez Niemców odparci.

W nocy wzmogła się znacznie czynność bojowa pomiędzy laskiem Houthoulster, a kanałem Comines-



Z frontów bojowych: Działo francuskie nad Soczą (Woj kwat pras.

Ypres, a więc po Hollebeke. Kanonada doszła aż do natężenia ognia huraganowego, poczem na znacznej części frontu angielskiego ruszyła do szturmu piechota angielska.

Wobec bezowocności wszelkich wysiłków nieprzyjaciela trudno dociec, jaki właściwie cel zamierzają Anglicy osiągnąć kosztem nowego krwi rozlewu. Czy to tylko upór nieuleczalny każe im atakować, chociaż wszystko przemawia przeciw możliwości, by atak był skuteczny? A może idzie o pokazanie Amerykanom, że ich pobratymcy mimo wszystko czują się dość silnymi, by dalej walczyć, a Niemcy stanowczo zostaną pokonani. Nakoniec jeszcze jedna możliwość: chęć skierowania całej uwagi przeciwnika na front zachodni, by tymczasem od południowego zachodu Włosi rzucili się nań tem swobodniej.

Za tą ostatnią ewentualnością wiele przemawia. *Entente* między rozmaitemi kombinacyami, brała również pod rozwagę możliwość doprowadzenia wojny światowej do rozstrzygnięcia na włoskim teatrze wojny. Front południowo-zachodni ma okrągło 500 klm. długości i dzieli się na trzy części: na front Isonza, sięgający od morza po Tolmein; na front korutański dochodzący mniej więcej do przełęczy Tilliach; wreszcie na front tyrolski. Oczywiście dla ofenzywy na całym tym 500 klm. froncie nie wystarczają siły nieprzyjacielskie.

Zapytać więc wypada, które części frontu zachodnio-południowego byłyby w danym razie narażone na zamach nowej ofenzywy włoskiej. Najbliższymi Włochów celami są Tryest i Trydent. Więcej wagi ma oczywiście Tryest, jak wogóle cały front Isonza, posiada pierwszorzędną pod względem operacyjnym doniosłość, zamyka bowiem drogę do Lublany i do wnętrza monarchii.

Co do frontu korutańskiego, to tworzy on niejako łącznik pomiędzy dwiema dalszemi częściami. Odcinek ten zajmuje ostatnie miejsce w kombinacyach włoskich, chociaż prostym rozumem sądząc, raczej w tę stronę skierować winniby Włosi swe zapędy. Jakkolwiek jednakże same warunki naturalne są dla nich korzystne, zbyt silne przecież obwarowania dwu dróg najważniejszych, z Predilu i Pontafel, są przeszkodą tak poważną, iż i ją niełatwo byłoby pokonać, a nawet niewiadomo, czy wogóle byłaby ona do pokonania. Zresztą środkowe położenie tego odcinka mieści już samo w sobie pewne niebezpieczeństwa. Wbiwszy się klinem, Włosi narażeni byliby na ucisk flankowy, zawsze groźny.

Pozostaje jeszcze front tyrolski. Przekonali się jednak Włosi dostatecznie, że operacye w tej stronie z góry skazane są na niepowodzenie.

Najprawdopodobniej więc, jeśliby istotnie Cadorna zdecydował się na nową w ciągu jesieni jeszcze ofenzywę, zaatakowanoby znowu front Isonza. Wzmożona czynność działowa w tym odcinku może być tłumaczona już jako przygrywka do nowej akcyi.

Na froncie wschodnim, od Bałtyku, aż do najdalszych jego południowych krańców, chwilowa cisza, nie wiadomo jednak, czy przypadkowo nie poprzedzająca nadciągającej burzy.



Po odwrocie Rosyan: Pogrzeb „trzynastaków“ poległych w Pachińsku

Piotr Zaccone

Tajemniczy zbrodniarz

Tłumaczyła: **Marya Segeny**.

18

Kiedy, w godzinę później, Lambertin dojeżdżał do przedmieścia Saint-Nicolas, był jeszcze pod wrażeniem przeżytych wzruszeń, które objęły go taką mocą, że napróżno usiłował je od siebie odpędzić.

Brzmiały mu jeszcze w uszach gorące słowa Berty, a na czole czuł dotknięcie jej ust miękkich.

Wysiadł przed wejściem do miasteczka i odesłał powóz. Potrzebował odetchnąć świeżem powietrzem i uspokoić rozstrojone nerwy. W piersiach jego wrzał cały huragan pragnień i tęsknot niezaspokojonych.

Szedł długą chwilę, z gołą głową, wchłaniając w siebie świeże powietrze nocy.

Kiedy dochodził już do pierwszych domów i w chwili, kiedy miał minąć mieszkanie pana Durandeau, zatrzymał się zdumiony, ogarnięty nagle zimnym dreszczem.

Ujrzał bowiem, ku wielkiemu swojemu zdziwieniu, światło w parterowych pokojach domu.

Ktoś znajdował się w biurze.

Ale któż-to mógł być? Czyżby pan Durandeau niespodziewanie powrócił?

Ogarnęło go nagłe pragnienie przekonania się natychmiast, kto jest tym nocnym gościem. Ale już nie mógł pójść za tym instynktownym odruchem, bo w tej samej chwili drzwi od mieszkania otworzyły się szybko i dwóch mężczyzn stanęło na progu. Pierwszego Lambertin poznał natychmiast. Był to notaryusz Durandeau, co zaś do drugiego, to nie mógł dobrze rozpoznać jego rysów, chociaż się mu zdawało, że już go gdzieś widział.

Lambertin usunął się szybko w bardziej zacienione miejsce i czekał.

Pan Durandeau towarzyszył nocnemu gościowi aż do furtki ogrodowej, rozmawiając przyciszonym głosem:

— A więc nie chce pan zaczekać, aż zaprzęgnę do powozu — mówił notaryusz.

— Nie, dziękuję panu — odpowiedział nieznajomy. — Noc jest bardzo przyjemna i ciepła, księżyc wspaniale świeci, przejdę się z ochotą.

— Do widzenia więc.

— Tak, tak, do widzenia, bo myślę, że za jaki miesiąc będzie znowu coś nowego.

Obydwaj mężczyźni rozeszli się po tych słowach.

Lambertin stał w cieniu, nie śmiejąc się poruszyć.

Nieznajomy musiał przejść koło niego i był pewny, że z bliska pozna go, bo nagle mu się zdawało, że już gdzieś tę twarz widział.

Zaledwie mógł powstrzymać okrzyk zdziwienia, kiedy, po kilkunastu sekundach zaledwie, nieznajomy przesunął się koło niego.

Człowieka tego już po raz trzeci od roku widział w Saint-Nicolas. Kim on był, Lambertin nie wiedział, bo pan Durandeau nie mówił z nim o tem. Wiedział tylko tyle, że nieznajomy nazywał się Cyprian Leduc.

— — — — — — — — — — — — — — — —

W trzy dni po wydarzeniu wyżej opisanem, pułkownik Robert znajdował się w willi swojej przy Polach Elizejskich. Siedział w gabinecie swoim, który przylegał do sypialnego pokoju.

Zadanie, które przedsięwziął, wchodziło na najlepszą drogę, zaledwie kilka mniej znaczących punktów pozostawało mu do rozwiązania.

Od dnia pamiętnej zabawy, wydanej przez niego, wydarzyło się wiele ciekawych rzeczy. Przedewszystkiem Olivia znikła niespodziewanie, nie pozostawiając za sobą żadnych śladów. Dowiedział się tylko tyle, że w dniu zabawy młoda kobieta, powróciwszy do siebie, zapadła w jakieś omdlenie dziwne, którego powodu lekarze nie umieli wyjaśnić.

Przez kilka godzin walczyła między życiem a śmiercią. Można było sądzić, że podległa jakiemuś złośliwemu zatruciu, tylko, że nigdzie nie było można odkryć najmniejszego śladu trucizny. Najpoważniejsi lekarze zawezwani natychmiast, nie mogli nic orzec stanowczego, gdyż wszelka stanowcza dyagnoza wymykała im się z powodu nieznanych i coraz to nowych objawów choroby.

Poradzili wkońcu Olivii, kiedy pierwsze groźne symptomata ustąpiły, aby bezzwłocznie wyjechała do Nizzy. I wówczas to młoda kobieta nagle opuściła Paryż. Ale nikt właściwie nie wiedział, czy posłuchała rady doktorów i czy udała się tam rzeczywiście. Może podążyła w Alpy w poszukiwaniu za powietrzem żywszem i chłodniejszem? Pułkownik Robert nie umiał na to znaleźć odpowiedzi. Zapewne on sam musiał wiedzieć, czemu przypisać nagłą chorobę młodej kobiety i nie uznał za potrzebne zbadać dokładnie kierunku jej podróży.

Skoro wyjechała, obojętnem mu było, w którą udała się stronę. Spodziewał się codziennie wiadomości o jej śmierci i to mu zupełnie wystarczało.

Co zaś do barona d'Esclairs, rzecz się przedstawiała inaczej. Kiedy przy pojedynku z pułkownikiem otrzymał był niewielką, pozornie nieznaczną rankę, zachorował również dosyć niebezpiecznie w tajemniczy sposób, bo nie można było przypuścić, aby z tak niewinnej ranki mogły wypłynąć tak poważne dla jego zdrowia konsekwencye.

Na szczęście jednak, baron d'Esclairs, chociaż nie zbyt młody, miał organizm dosyć silny i odporny i przy pomocy silnych, reakcyjnych środków, po upływie miesiąca, stanął na nogach, ale utracił dawne swoje zdrowie. Stracił dawną swoją żywotność, którą w nim podziwiali wszyscy. Policzki jego wpadły lekko i gęste jego włosy przerzedziły się trochę nad czołem, a oczy jego, dawniej żywe i błyszczące, pokryte były obecnie mgłą jakąś chorobliwą.

Z pięknego dawniej barona d'Esclairs pozostał cień tylko, a przyjaciele jego stracili nadzieję utrzymania go długo przy życiu.

Z tej strony więc pułkownikowi Robertowi nie groziła żadna przeszkoda ważna — mógł spokojnie oczekiwać owoców swojej podstępnej i okropnej zbrodni.

Pozostawało tylko to dziecko nieznane, które Bonnet z Indyi wskazał w testamencie, jako swojego uniwersalnego spadkobiercę — a co do tego punktu, wiadomo już, jaką obrał decyzyę.

Nie znając sukcesora i nie mogąc go usunąć ze swej drogi, postanowił stać się panem testamentu i zniszczyć go, aby raz na zawsze zabezpieczyć się przed ewentualnemi prawami prawdziwego spadkobiercy.

W każdym razie czyniąc w ten sposób, uchraniał się od popełnienia jeszcze jednej zbrodni i chociaż wzgląd taki nie byłby go wkońcu powstrzymał, wolał w tym wypadku posłużyć się mniej bezwzględnym środkiem.

Pułkownik Robert umiał sobie niezaprzecznie przygotować teren dalszego działania. Berta przejęła się wyśmienicie narzuconą jej rolą. Bardzo łatwo doprowadziła Lambertina do zupełnego oszołomienia i łatwem było do odgadnięcia, że nieszczęsny człowiek, rozkochany w niej do szaleństwa, stanie się biernem narzędziem w jej rękach i uczyni wszystko, co od niego wymagać będzie.

Berta od trzech dni powróciła z Saint-Nicolas i przez ten czas otrzymała stamtąd trzy listy!

Te trzy listy wskazywały, że oddalenie potęguje tylko szaleństwo Lambertin'a i doprowadza go do ostatnich granic zapomnienia i uległości wobec pokochanej kobiety! Odtąd można było uważać tego człowieka za nieodwołalnie zgubionego.

Nieszczęśliwy usiłował jeszcze chwilami walczyć ze sobą. Bronił się w pewnych okresach z energią, która wykazywała potęgę jego miłości i bunt uczucia uczciwości i honoru, w których żył dotąd. Ale widać było w każdym wysłanym liście, iż walka ta przycichała, że namiętność brała górę nad wszelkiemi rozumowaniami i że poprostu wisiał już na skraju przepaści, w którą się miał wkrótce potoczyć.

W jednym ze swoich listów pisał do Berty:

„Kocham Cię! Kocham Cię do szaleństwa. Myślę tylko o Tobie i przez Ciebie żyję! Jeżeli uczucie to mnie zwalczy, jeżeli uczynię to, czego zażądałaś odemnie, nie zapominaj, że związałaś się ze mną słowem obietnicy, że obiecałaś mi miłość swoją — i kochaj mnie tak, abym mógł zapomnieć o tem, co uczynię dla Ciebie".

Berta zaś odwrotnie odpowiedziała pod dyktatem pułkownika:

„Oczekuję Cię, nie daj mi długo czekać na siebie i pamiętaj, że nie Ty tylko cierpisz nad naszem rozłączeniem".

Wszystko więc szło jak najlepiej i po myśli pułkownika Robert. Należało tylko cierpliwie czekać rezultatów tak owocnej i intenzywnej pracy.

Od czasu do czasu jedynie nieprzyjemne wspomnienie Cypryana Leduc zaciemniało jasny widnokrąg jego myśli i wywoływało przykrą zmarszczkę na czole.

Nie widział go od owego spotkania nocnego w Belleville i nie wiedział, co tamten przeciw niemu knuje. W rzeczywistości nie potrzebował się go obawiać.

Nikt nie mógł go podejrzywać o zbrodnie, dokonane w lasach Argońskich, ani też w Saint-Nicolas. Pozornie bowiem nie wiązało go nic z sukcesyą Bonnet'a z Indyi, a w dniu, w którym ta sukcesya do podjęcia zostanie — w grę wejdzie Gilberta, a nie on.

Jednakże stary archiwiste wydawał się pułkownikowi osobą tajemniczą, z którą się należało liczyć. Znał on prawdziwego spadkobiercę i w razie, gdyby sprawa z Lambertin'em nie odniosła żadnego skutku — byłoby rzeczą użyteczną porozumieć się z Cypryanem Leduc i wejść z nim w układy. W tym celu rezerwował sobie jego pomoc i pamiętał o nim, prowadząc zręcznie dalej ryzykowny plan usunięcia testamentu.

Tymczasem rzecz dziwna i niewytłumaczona rozgrywała się równocześnie w Belleville, gdzie znajdowała się Gilberta. Ażeby uniknąć wszelkiego spotkania młodej dziewczyny z Jerzym, pułkownik umieścił ją w domu, zamieszkanym przez panią Bruchon, która mu oddaną była zupełnie. Gilberta przebywała tam pod ciągłym i ostrym dozorem, a pułkownik mógł być spokojny, że stara Bruchon wywiąże się dobrze z powierzonego jej zadania. Była za dobrze zapłaconą, aby zlecenie pułkownika lekceważyć sobie mogła.

Tylko, rzecz dziwna, czujność ta była zbyteczną, bo od dnia rozmowy pułkownika z Jerzym, gdy go przychwycił w towarzystwie Gilberty, młody człowiek gdzieś znikł i pułkownik nie wiedział, co się z nim stało. Nikt go nie widział błąkającego się, jak to było przypuszczalne, po ulicy Pixecourt, żaden list nie doszedł do rąk Gilberty. Można było tylko przypuścić rzecz jedną, że młody człowiek, znużony sytuacyą i przeszkodami, odstąpił od urzeczywistnienia marzenia, jakiem się przez czas pewien łudził.

Jednakże to wyjaśnienie nie wydawało się prawdopodobnem starej Bruchon. Wiedziała, nauczona już długoletniem doświadczeniem, że zazwyczaj trudności nie osłabiają miłości tak młodych ludzi, jak Jerzy, ale przeciwnie, potęgują ją i czynią niezwalczoną. Po długich rozmyślaniach, postanowiła przekonać się, jak rzeczy stoją i czy jej przewidywania są prawdziwe i jednego dnia udała się prosto do mieszkania Cypryana Leduc, gdzie, ku swemu wielkiemu zdumieniu dowiedziała się, iż Jerzy nie pokazał się tam od szeregu tygodni. Dopytywała się ciekawie, czy nie wyjechał w podróż i kiedy powróci, wkońcu, czy wiadomym był powód jego zniknięcia, ale nic konkretnego dowiedzieć się nie mogła.

Zaciekawiona i zła, powróciła do domu i przy pierwszej sposobności opowiedziała wszystko pułkownikowi.

Była to przecież jakaś tajemnica, a pułkownik należał do ludzi, którzy lubią jasne sytuacye.

Ale w tym czasie był on tak pochłonięty sprawą testamentu, że nie zwrócił wielkiej wagi na zniknięcie Jerzego i przekonał starą Bruchon, że młody człowiek oddalił się pewnie na czas jakiś z miejsca, w którem przebywała Gilberta, zrozpaczony faktem, że dostępu do niej mieć nie mógł!

O tych to różnych rzeczach myślał pułkownik Robert po powrocie swoim z Marsylii, siedząc w gabinecie swoim przed biurkiem.

Zapalił cygaro i rozmyślając, otaczał się kłębami wonnego dymu. Przeżywał w myśli wszystkie wypadki dni ostatnich i dobre nadzieje na przyszłość, ukazujące się z listów Lambertin'a i wyraz zadowolenia i wielkiej pewności siebie osiadł na jego ciemnej twarzy.

— Wszystko idzie jak najlepiej — szepnął po chwili — Berta doskonale wywiązuje się ze swojej roli i jeżeli dalej potrafi utrzymać tego głupca pod wpływem swoim, zwycięstwo moje niedaleko!

Wstał z fotela i pogwizdując wesoło podszedł do okna. W tej samej właśnie chwili do-

biegł go turkot powozu, zatrzymującego się przed ogrodem willi.

— Czyżby ktoś do mnie? — szepnął zdziwiony, wychylając się przez okno.

Rozległ się szmer kroków na ścieżce i wkrótce pomiędzy drzewami zamajaczyła zgrabna postać Berty. Szła szybko, trzymając w ręce, osłoniętej jasną rękawiczką, niewielką niebieską kopertę.

Wyglądało to na depeszę telegraficzną.

Coś nowego zapewne stać się musiało. Pułkownik niecierpliwie wybiegł na spotkanie młodej kobiety i wprowadził ją do gabinetu.

Na widok twarzy Berty, promieniejącej radością, westchnienie ulgi wybiegło z ust pułkownika.

— No i cóż? — zapytał krótko.

— Już załatwione! - odparła Berta, potrząsając niebieską kopertą.

— Co załatwione?

— Z Lambertin'em.

— Oznajmia ci swój przyjazd?

— Niech pan sam przeczyta.

Pułkownik wziął depeszę i przeglądał ją rozgorączkowanem spojrzeniem.

Wysłana była z Lyon w nocy, podczas jakiegoś przystanku pociągu i zawierała tylko te słowa:

„Będę w Paryżu jutro rano — u pani".

— Nareszcie! — szepnął pułkownik — Nareszcie! Wszystko już załatwione — i dobrze załatwione — a teraz pozostaje mi tylko...

Urwał, bo spostrzegł, że Berta stała przy nim, obserwując go bacznie. Powrócił więc natychmiast do równowagi.

— Czy przyjechał już? — zapytał.

— Dziś rano.

— O której godzinie?

— Wcześnie, leżałam jeszcze. Właśnie co dopiero odebrałam depeszę, kiedy posłyszałam dzwonienie.

— Więc widziałaś się z nim?

— Natychmiast.

— Ale co się z nim stało? Gdzie poszedł?

Młoda kobieta uśmiechnęła się znacząco.

— Gdzie poszedł? — powtórzyła. — Ależ on jest jeszcze u mnie.

— Zatrzymałaś go?

— Obiecałam mu to.

— Dobrze... Dobrze... Wszystko jak najlepiej się składa. A więc, moja mała, sytuacya jest obecnie tego rodzaju, że testament...

Berta szybkim ruchem podała pułkownikowi zwój pergaminu.

— Biedny chłopak — zaśmiała się — nie miał ani chwili wahania. Był zupełnie oszołomiony i nieprzytomny ze szczęścia i dał mi ten dowód miłości, który, doprawdy, rozczulił mnie bardzo.

Błysk radości przeniknął po twarzy pułkownika. Wziął testament do ręki i przeglądał go niecierpliwie. Ręce jego trzymające papier, drżały lekko.

Wszystko było w porządku. Był to rzeczywiście akt, o którym mu mówiono. Cypryan Leduc nie pomylił się. Akt opiewał na korzyść dziecka naturalnego i spisany był według wszelkich reguł i zasad formalnych. Szybkim ruchem, uśmiechając się zwycięsko, pułkownik rozdarł papier i wrzucił go do kominka.

Na widok ten dreszcz bolesny przebiegł twarz młodej kobiety.

— Cóż ja mu teraz powiem? — wyrzekła, marszcząc gładkie czoło.

— Powiesz mu, co zechcesz — zaśmiał się gniewnie pułkownik.

— Cios będzie dla niego straszny — szepnęła w zamyśleniu Berta.

— Nie. Tylko trzeba go do niego przygotować. Uzna za naturalne, że chciałaś mieć odpis tego tastamentu i zyskasz na tem kilka dni zwłoki. Sądzę zresztą, że potrafisz zająć go w ten sposób, że nie będzie miał czasu myśleć o czemś innem.

— Ach! — szepnęła Berta. — Przyznam się panu, że gdybym się była lepiej zastanowiła nad całą tą sprawą, to...

— No, no! — zawołał pułkownik. — Co to znowu znaczy Berto? Żale i wyrzuty po niewczasie! Nie spodziewałem się tego po tobie, moje dziecko...

— Ciekawa jestem, czy, gdyby pan był na mojem miejscu — zaczęła...

— Dosyć, już dosyć, moja mała. Oto coś, co cię napewne pocieszy.

Mówiąc to, pułkownik podszedł do biurka i wyjął z szuflady garść banknotów.

— Masz — rzekł, wciskając je do ręki młodej kobiecie. — Weź to! To prawie majątek i jeżeli przedsięwzięcie moje się uda, jak tego mam nadzieję, przyrzekam ci, że nie pożałujesz nigdy swojego kroku.

Berta z rozjaśnioną cokolwiek twarzą przyjęła pieniądze, ale, pomimo świetnych obietnic pułkownika i pewności, że życie jej zabezpieczone jest doskonale, uczuła, że jakiś dziwny smutek ogarnia ją. Nie rozumiała wiele z tego co jej kazano uczynić, ale jednak przejmował ją niewyraźny niepokój, że przyczyniła się mimowoli, do popełnienia jakiejś podłości.

Bez słowa skierowała się ku drzwiom.

— Odchodzisz? — zapytał pułkownik.

— On czeka na mnie.

— Masz słuszność. Czy prędko odjedzie?

— Zdaje się, że jutro. Ale nie wiem jeszcze na pewne.

— Jedzie do Marsylii?

— Nie! Wspominał coś o New-Jorku.

— Tak! Zdaje się, że jutro właśnie odchodzi okręt. Wiesz co, moja mała, chcesz, żebym ci dał dobrą radę na ostatek?

— Jaką?

— Mam wrażenie, że interesujesz się dosyć tym Lambertinem.

— To prawda — odpowiedziała młoda kobieta, wzdychając ciężko.

— Na twojem miejscu, nie pozwoliłbym mu samemu odjeżdżać.

— Pan chce, żebym opuściła Paryż?

— Na jakiś czas tylko...

— Czy obawia się pan czegoś dla mnie? — zapytała niespokojnie Berta.

— Nigdy nie można być pewnym...

— Nie wspominał mi przecież pan o tem! Dlaczego więc teraz dopiero...

— Byłoby to nieostrożnością z mojej strony — odparł zimno pułkownik.

— Ah! Więc tak! Obawiam się, czy mnie pan nie wciągnął w brzydką jakąś historyę — zawołała z wyrzutem Berta.

Pułkownik ujął jej ręce, przyciągnął ją do siebie i spojrzał jej głęboko w oczy.

— Posłuchaj mnie — rzekł poważnym i stanowczym głosem. — Co się stało, odrobić się już nie da, nie trzeba więc już do tego powracać. Pamiętaj tylko, że czy pojedziesz z tym człowiekiem czy nie, czy też pozostawisz go losowi jaki go czeka, nie śmiesz nigdy mieszać nazwiska mojego do tej sprawy i wogóle nie wspominać nigdy o tem co się stało. Jeżeli proszę cię o dyskrecyę na tym punkcie, to czynię to mniej w swoim interesie niż w twoim, bo w dniu, w którym miałabyś coś powiedzieć...

— Cóż stać się może? — zapytała Berta, patrząc niespokojnie w twarz pułkownika.

— Tego dnia, mała Berta, którą tu lubimy wszyscy, będzie musiała nieodwołalnie zniknąć na zawsze ze świata. Zrozumiałaś moja mała. Widzisz więc, że jeżeli ci chodzi o własne bezpieczeństwo — milczeć musisz.

Młoda kobieta zbladła silnie, niepowstrzymane drżenie objęło jej ciało i nie spojrzawszy nawet na pułkownika, wybiegła szybko z pokoju.

Zbiegła szybko ze schodów, jak gdyby już czuła za sobą czyhające na nią niebezpieczeństwo i wpadła do powozu, który ruszył natychmiast z miejsca.

Ale zaledwie ujechała kilka kroków, wydała szalony okrzyk trwogi. Wsiadła tak szybko do karety, oszołomiona ostatniemi słowami pułkownika, że nie zauważyła iż wewnątrz znajdował się jakiś człowiek.

Oszalała z przerażenia chciała wychylić się i zawołać na stangreta, ale nieznajomy powstrzymał ją.

— Niech się pani nie obawia — wymówił spokojnym głosem. — Nie chcę nic złego pani uczynić, tylko mam pani zakomunikować rzecz pewną...

— Mnie? Mnie? — zawołała Berta, cofając się instynktownie w głąb powozu.

— Tak, pani, panno Berto.

— Ależ ja pana nieznam...

— Zawrzemy więc znajomość zaraz.

— Proszę pana!...

— Oh! Wszystko odbędzie się po formie, zaręczam pani. Mam zresztą sześćdziesiąt lat i w moim wieku, przyznać muszę...

— Któż pan jest? Jak się pan nazywa? — pytała młoda kobieta, coraz bardziej zdumiona.

— Nazywam się Cypryan Leduc, do usług pani. Jestem archiwistą i mam do pomówienia z panią o ważnych rzeczach.

Był to rzeczywiście stary archiwista, który porozumiawszy się poprzednio ze stangretem, ukrył się w powozie i czekał na zjawienie się Berty.

Kiedy po chwili, wyjaśniwszy już, kim jest, spostrzegł, że przestrach młodej kobiety nie ustępuje, postarał się ją raz jeszcze uspokoić.

— Powiedziałem pani — odezwał się dobrotliwie — że nie potrzebujesz się mnie lękać. Otóż, moje dziecko, mam nadzieję, że będziesz tak względną i grzeczną i nie odmówisz mi kilku informacyi, które pragnę otrzymać od ciebie, a które są mi rzeczywiście niezbędne.

— Ależ, panie.

— To nie potrwa długo i w niczem nie skompromituje panią, zaręczam. Spieszę się dlatego, że i ja również muszę złożyć wizytę pułkownikowi Robert, a chcę, żebyśmy przedtem doszli do wspólnego porozumienia. Czy chce pani tego?...

— Wszystko to jest tak dziwne. — wyszeptała Berta, nie mogąc zrozumieć jeszcze.

— Mniej dziwne, niż pani podróż do Saint-Nicolas! Proszę przyznać!

— Jakto? To pan wie o tem? — zawołała młoda kobieta, drżąc nerwowo.

— Wiem i wiem pozatem o wielu innych rzeczach. Są pomiędzy niemi takie, któreby mogły bardzo smutnie wpłynąć na przyszłość pani.

— Co pan mówi?

— Zaraz to jaśniej wytłumaczę. Dziś rano przyjęła pani u siebie, na ulicy la Bogère — pomocnika notaryalnego pana Durandeau, nieprawdaż?

— Tak jest! Ale kto panu to powiedział?

— Nikt. Nazywa się Lambertin.

— Tak.

— Widzi pani, że wiem dokładnie. Pan Lambertin wyjechał wczoraj z Marsylii i wczoraj wieczorem otrzymałem depeszę, w której mi donoszą, że przybędzie on do Paryża według wszelkiego prawdopodobieństwa o godzinie szóstej rano. Domyślałem się, że uda się wprost z kolei do pani i rzeczywiście, widziano go wchodzącego tam około ósmej. Czy to wszystko jest dosyć dokładne?

— Tak.

— Nie będę się pani pytał, co miało miejsce pomiędzy panią, a panem Lambertinem od chwili jego przybycia, aż do czasu, w którym zjawiła się pani u pułkownika Robert. Jest to osobistą tajemnicą twoją, moje dziecko, której naruszać nie myślę. Wiem tylko, że pan Lambertin wyjeżdżając z Marsylii był w posiadaniu testamentu wykradzionego z biura pana Durandeau i chcę się dowiedzieć co się stało z tym testamentem.

Na słowa te młoda kobieta opuściła głowę nisko na piersi i przybladła lekko.

— Jeżeli czuje pani pewne wahanie do wypowiedzenia mi prawdy — ciągnął dalej Cypryan Leduc — to pomogę pani. Testament ten pan Lambertin złożył w ręce pani, a pani pospieszyła oddać go pułkownikowi. Czy nie tak?

Berta twierdząco skinęła głową.

— Nikt mi tego również nie powiedział, ale pewny jestem, że sprawa podobny miała przebieg. Cieszy mnie więc niewymownie nieme wyznanie pani. Bo pani wyznaje to — czy tak?

— Wyznaję.

— Doskonale. A teraz dalej. Co uczynił pułkownik, odebrawszy testament do ręki?

— Podarł go i rzucił do kominka. — odpowiedziała słabym głosem Berta.

— No tak, zapewne, nic lepszego uczynić nie mógł. A więc w chwili obecnej rzecz się tak przedstawia, że testament jest zniszczony bez śladu i ten, którego prawa ten akt poświadczał — znajduje się ogołocony z nich zupełnie i nieodwołalnie, to jest, ogołocony ze spadku, który mu się należał. Czy nie wiedziała pani o tem?

— Nie wiedziałam, przysięgam panu.

— Wierzę pani. Ale złe stało się i nie jest do naprawienia. Najgorsza rzecz w tem wszystkiem, że właściwie pułkownik Robert odpowiadać za to nie może. Ładnie się umiał urządzić. Wszelkie zapewnienie pani byłoby bezskuteczne, bo on się wszystkiego wypierać będzie... Jest zatem winnym, ale zręcznością swoją niezwykłą uchronił się przed odpowiedzialnością, wina zaś spadnie na tych, których w grę to wciągnął.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Z tygodnia.

Hr. Czernin za rozbrojeniem.

(B. kor.) Podczas bankietu, który węgierski prezydent ministrów wydał na cześć bawiącego u niego w odwiedzinach ministra spraw zagranicznych, hr. Czernin wygłosił znamienną mowę, w której między innemi powiedział:

„Wojna nie tylko stworzyła nowe fakty i stosunki, lecz doprowadziła także do nowych rozpoznań, które wstrząsnęły podstawami dotychczasowej polityki europejskiej. Wśród wielu innych tez politycznych upadła przedewszystkiem także ta, która utrzymywała, że Austro-Węgry są państwem umierającem. Dogmat o bliskim rozkładzie monarchii utrudniał nasze stanowisko w Europie i z niego to płynęło niezrozumienie naszych potrzeb żywotnych. Skoro w tej wojnie okazaliśmy się państwem zdrowem i co najmniej równorzędnem, to wynika stąd dla nas to, że możemy teraz liczyć na zupełne zrozumienie naszych konieczności życiowych przez Europę i że runęły nadzieje, że można nas pokonać zbrojną przemocą. Aż do chwili, w której złożyliśmy na to dowód, nie mogliśmy się zrzec ochrony zbrojeń i narażać się na nieprzychylne traktowanie naszych kwestyi żywotnych przez areopag, pozostający pod wpływem legendy o naszym jakoby upadku. Z chwilą jednak, gdy taki dowód złożyliśmy, możemy równocześnie z naszymi przeciwnikami złożyć broń i nasze ewentualne spory uporządkować przez sąd rozjemczy i pokojowo.

To nowe przeświadczenie, które sobie utorowało drogę w świecie, daje nam możność potemu, że nie tylko myśl rozbrojenia i sądów rozjemczych przyjmujemy, lecz także, jak panowie o tem wiecie, już od pewnego czasu ze wszystkich sił staramy się o jej urzeczywistnienie. Niema wątpliwości, że Europa po tej wojnie musi stanąć na nowej międzynarodowej podstawie, któraby dawała rękojmię trwałości. Ta podstawa prawna, mojem zdaniem, musi być czworaka:

Po pierwsze: musi dawać bezpieczeństwo, że nie będzie już żadnej wojny dla rewanżu i to z żadnej strony. To jedno chcemy osiągnąć, cobyśmy naszym wnukom zostawili w spuściźnie, żeby im zostały oszczędzone okropności podobnie straszne i epoki, jak ta, którą teraz przeżywamy. Tego nie dokaże żadne przesunięcie potęgi między wojującemi państwami. Jedyną drogą do tego celu jest ta, którą wymieniłem, to jest droga międzynarodowego rozbrojenia się świata i uznania interwencyi sądów rozjemczych. Jest zbytecznem dodawać, że ten środek rozbrojenia nigdy nie może być wymierzony przeciw jednemu państwu lub jednej grupie mocarstw, oraz, że oczywiście musi ono obejmować w równej mierze ląd, wodę i powietrze.

Ale także wojna, jako środek polityczny, musi być zwalczaną. Na podstawie międzynarodowej, pod kontrolą międzynarodową musi się odbyć ogólne, równomierne i stopniowe rozbrojenie wszystkich państw świata, a siła zbrojna ma się ograniczyć do tego, co jest nieodzownie konieczne. Wiem doskonale, że tego celu bardzo trudno dopiąć, i że droga, która do niego prowadzi, jest pełna uciążliwości, długa i ciernista. Mimo to jestem głęboko przekonany, że trzeba nią pójść i że się nią pójdzie, bez względu na to, czy niektórzy uważają to za pożądane, czy nie.

Jest wielkim błędem sądzić, że po tej wojnie świat znowu zacznie tam, gdzie ustał w r. 1914. Katastrofy takie, jak ta wojna, nie mijają bez głębokich śladów, a najstraszniejszem nieszczęściem, któreby nas spotkało, byłoby, gdyby po zawarciu pokoju znowu miało się zacząć zbrojenie na wyścigi, któreby się stało ruiną gospodarczą dla wszystkich państw.

Z tych trudności jest tylko jedno wyjście: międzynarodowe zupełne rozbrojenie się świata. Olbrzymie floty nie mają już celu, jeżeli państwa świata poręczają wolność mórz, wojska lądowe zaś musiałyby się zredukować do tej szczupłej miary, która jest niezbędna dla utrzymania wewnętrznego porządku. A jest to możliwe tylko na podstawie międzynarodowej, to jest pod międzynarodową kontrolą. Każde państwo będzie musiało oddać coś ze swej samodzielności, aby zabezpieczyć pokój światowy. Prawdopodobnie dzisiejsze pokolenie nie dożyje już końca tego wielkiego ruchu pacyfistycznego, gdyż może on się dopełnić tylko powoli, uważam jednak za swój obowiązek, żebyśmy stanęli na czele tego ruchu i uczynili wszystko, co dla człowieka możliwe, aby przyspieszyć jego stanowcze przeforsowanie. Przy zawieraniu pokoju musi się ustalić główne zasady tego ruchu.

Pierwszą zasadą tedy jest obowiązkowe międzynarodowe sądownictwo rozjemcze i powszechne rozbrojenie na lądzie, drugą zaś zasadą jest wolność pełnego morza i rozbrojenie na morzu. Mówię umyślnie „pełnego morza“, gdyż nie odnoszę tej myśli do cieśnin morskich i przyznaję chętnie, że dla łączących dróg morskich trzeba będzie pewnych osobnych przepisów i reguł. Skoro te dwa dopiero co przytoczone momenty są wyjaśnione i zapewnione, to odpada wszelki powód dla zabezpieczeń terytoryalnych. I to jest trzecia główna zasada międzynarodowej podstawy prawnej. Tę to myśl zawiera piękna i wzniosła nota, którą Jego Świątobliwość Ojciec święty wystosował do całego świata.

Nie prowadziliśmy tej wojny w celu zdobyczy i nie zamierzamy żadnych pogwałceń. Jeżeli nasi nieprzyjaciele dzisiejsi zgodzą się na międzynarodowe rozbrojenie i jeżeli ono stanie się faktem, wtedy nie potrzebujemy żadnych zabezpieczeń terytoryalnych, wtedy możemy się zrzec powiększenia monarchii austro-węgierskiej, oczywiście pod warunkiem, że także nieprzyjaciel opróżni zupełnie nasze własne terytoryum.

Czwartą zasadą główną, której należy się trzymać, aby po tych czasach zła poręczyć swobodny, pokojowy rozwój świata, jest zasada wolnej gospodarczej działalności dla wszystkich i bezwarunkowe uniknięcie przyszłej wojny gospodarczej. Wojnę gospodarczą należy bezwarunkowo wykluczyć z każdej kombinacyi co do przyszłości. Zanim zawrzemy pokój, musimy mieć pozytywną pewność, że nasi dzisiejsi przeciwnicy zrzekli się tej myśli.

To są, moi panowie, główne zasady nowego porządku świata, które mam na myśli, a wszystkie one opierają się na ogólnem rozbrojeniu. Wszak także Niemcy w swojej odpowiedzi na notę Papieża z jak największym naciskiem opowiedziały się za ideą powszechnego rozbrojenia, a także i nasi dzisiejsi przeciwnicy przynajmniej po części już przyswoili sobie te zasady“.

Wystąpienie Ligi Kobiet z N. K. N.

Wiceprezes N. K. N. otrzymał od Naczelnego zarządu Ligi Kobiet N. K. N. w Krakowie następujący list:

„Jaśnie Wielmożny Panie Prezesie! Spełniając włożony na mnie obowiązek, donoszę Jaśnie Wielmożnemu Panu, że na pełnem posiedzeniu Naczelnego zarządu Ligi Kobiet N. K. N., odbytem w dniach 29. i 30. września b. r., zapadła jednogłośnie następująca uchwała:

Naczelny zarząd Ligi Kobiet, zrzeszenia Polek, pracujących od początku wojny bezpartyjnie dla niepodległego państwa polskiego, uchwala ze względów zasadniczych, ogólnem położeniem narodowem wskazanych, na plenarnem swem posiedzeniu w dniu 29. września 1917 roku wystąpienie Ligi Kobiet z Naczelnego Komitetu Narodowego. — Zgodnie z uchwałą powyższą, wycofuje Liga Kobiet dwie swoje delegatki, pp. Jadwigę Tomicką i Zofię Moraczewską ze składu Naczelnego Komitetu Narodowego i rozpoczyna likwidacyę spraw, z dotyczącą przynależnością do N. K. N. związanych.

Łączę wyrazy wysokiego poważania. Za N. K. N. Naczelny zarząd Ligi Kobiet. Kraków. Zofia Moraczewska, przewodnicząca“.

Rosyjski minister spraw zagranicznych o Polsce i Litwie.

„Stockholms Dagblad“ zamieszcza wywiad ze znanym w Sztokholmie agentem legacyi francuskiej, Alzatczykiem, drem André Waltz. Dr. Waltz przybył przed paroma dniami z Petersburga. O swej rozmowie z ministrem spraw zagranicznych, Tereszczenką, oświadczył, co następuje:

„Tereszczenko szczegółowo długo mówił o przyszłości Polski i upoważnił mnie do powtórzenia, że rząd rosyjski jest zwolennikiem zupełnej niepodległości i suwerenności Polski. Minister twierdził dalej, że urzeczywistnienie ekonomicznej niepodległości Polski da się uzyskać przez dostęp do morza. Dostęp ten jednak nie może być na terytorum Litwy, która musi pozostać w ramach republiki rosyjskiej. Litwa — oświadczył Tereszczenko — podobnie jak i inne prowincye rosyjskiego państwa, zamieszkałe przez obce narodowości, otrzyma najdalej idącą autonomię, szczególnie w kwestyach języka, religii, oświaty i administracyi. Otrzyma ona także szerokie prawa ustawodawcze dla Sejmu w kwestyach lokalnych. Atoli musi bezwzględnie pozostać Duma centralna dla całego państwa.

W dalszej rozmowie Tereszczenko dotknął także Finlandyi, która, jego zdaniem, powinna otrzymać specyalny system rządzenia“.

Do tych wywodów dołącza redaktor dr. Söderberg następujący komentarz:

„Oświadczenie Tereszczenki w sprawie przyszłości Polski idzie krok dalej od zapatrywań Milukowa, jako ministra spraw zagranicznych, który myślał jeszcze o unii Polski z Rosyą, przynajmniej zaś o konwencyi wojskowej. Tereszczenko dalej odmawia Polsce prawa do portu litewskiego (Połągi), czyli skierowuje Polaków w stronę wybrzeża pruskiego. Aby jednak to uzyskać, trzeba dążyć do pogromu Niemiec. Tereszczenko zaakcentował silnie, że Litwa spodziewać się może tylko lokalnej autonomii w ramach państwa rosyjskiego. Obietnica ta nie zadowolni Litwinów, których dążności wolnościowe idą — jak wiadomo — o wiele dalej“.

Kronika tygodniowa.

Doczekała się nareszcie świeczka odpustu. Mam tutaj w pierwszym rzędzie na myśli uchwałę krakowskiej Rady miejskiej z dnia 4 października, na mocy której pomnik Tadeusza Kościuszki ma stanąć na Rynku, u wylotu ulicy Szewskiej, w zupełnie takiem samem oddaleniu od Sukiennic, jak pomnik Mickiewicza. Sprawa więc ostatecznie, ku zadowoleniu ogółu, załatwiona, ale zapomniano dodać, kiedy to ma nastąpić i czy przypadkowo nie wyłonią się znów jakie nowe, dotąd nie przewidziane trudności, n. p. poprowadzenie nowej linii tramwajowej, bo do tramwaju, to już Kościuszko stanowczo nie ma szczęścia. Kamień pamiątkowy na Rynku musiał już swojego czasu cofnąć się nieco w tył, by ułatwić połączenie Zwierzyńca z Kleparzem. Dziś, w wojennym czasie, wszelakie internowania są w modzie, należałoby się jednak postarać, by internowanie Kościuszki w murach koszar miejskiej Straży pożarnej już się nareszcie skończyło.

Doczekaliśmy się także odpowiedzi mocarstw centralnych na notę pokojową papieża Benedykta XV, ponieważ zaś mowę Asquitha, wygłoszoną w Leeds, uważać należy także za pewien rodzaj odpowiedzi w imieniu koalicyi, wobec tego i kronikarz *Nowości Illustrowanych* może już w tej kwestyi zabrać głos i właśnie się do tego przygotowuje. W tym celu zakupił już tuzin piór, librę papieru i całą flaszkę atramentu, obecnie zaś zastanawia się nad tem, od czego zacząć.

Najprawdopodobniej od tego, iż wojna musi się skończyć jeszcze tego roku, gdyż tak chce naród, a specyalnie część jego, zamieszkująca Zwierzyniec. Wiadomo zaś, że *vox populi, vox Dei.*

Rzecz tak się zaś miała.

Niedawno, w każdym razie kilka tygodni temu, gdy lato panowało jeszcze w całej pełni, a jesień dopiero zamyślała rozpocząć swą ofenzywę, dyskutowało dwu zwierzynieckich obywateli nad kwestyą wojny i pokoju.

— A ja powiadam kumotrowi — tak mówił jeden z nich — że wojna musi się skończyć jeszcze w tym roku!

— Skończy się, skończy — wyrzekł ten drugi, widocznie pesymista — jeżeli ot ten kasztan przed zimą drugi raz zakwitnie.

To rzekłszy, wskazał na drzewo, które już zaczynało tracić powoli swą zieloną szatę.

I co Państwo na to powiecie, kasztan ów, jak to sam na swoje własne oczy stwierdziłem, zakwitł w tym roku po raz drugi! Niechaj więc koalicya mówi, co chce, niech bruździ dalej, jak się jej żywnie podoba, ja twierdzę, że pokój powinien być zawarty jeszcze przed Nowym Rokiem. Chyba, gdyby znów zaszły jakieś nieprzewidziane przeszkody...

W kronikarskiej odpowiedzi na notę pokojową ten właśnie moment mam zamiar na pierwszy plan wysunąć i największy nań położyć nacisk, gdyż ma on bezwarunkowo pierwszorzędne znaczenie, stwierdzając, że sama przyroda ma już dość wojny i radaby się doczekać pokoju. Dlatego okrył się nowem kwieciem ten właśnie kasztan, a nie inny.

Że odpowiedź moja będzie pięknie wystylizowaną, o tem mówić nie potrzebuję, szwankować może jedynie pod względem kaligraficznym. Z kaligrafią od lat najmłodszych staczałem ciągłe walki i dziś narzekają na mnie z tego powodu drukarze, ale ja się tem pocieszam, że wszyscy wielcy ludzie pisali zawsze bardzo niewyraźnie, a mimo to nazwiska ich przeszły do historyi. Czego zresztą kto przeczytać nie może, powinien się tego domyślić, a pisma, polityczne zwłaszcza, mają to do siebie, że powinno się w nich umieć czytać i pomiędzy wierszami.

Rzecz prosta, że w odpowiedzi mej nie zapomnę o mych przyjaciołach politycznych z dawnych czasów, zwłaszcza zaś o królu czarnogórskim Nykicie. Serce mnie boli, że w żadnej z dotychczas ogłoszonych nie znalazłem nawet wzmianki o tem, co się stanie ze starowiną, zresztą bardzo sympatycznym i zasługującym na to, choćby tylko z tego powodu, iż obdarzył świat tak licznem potomstwem, by zapewnić mu spokojną i wygodną starość. Na tron już prawdopodobnie nie wróci, powinien przecież otrzymać za to pewną rekompensatę, dajmy na to, obejmując kierownictwo nowego urzędu miejskiego w Krakowie, mającego za zadanie zarząd wszelkich gminnych przedsiębiorstw, więc teatru, tramwaju, wodociągów, rzeźni, gazowni i t. d. O ile go znam, jest on bardzo dobrym gospodarzem, potrafiłby się więc należycie wywiązać z poruczonego zakresu działania, zadowalając się nadto skromną pensyą (z prawem do emerytury i zaopatrzenia dzieci...), równającą się dawnej jego liście cywilnej.

Urząd taki, o ile on rzeczywiście ma być kreowany, uprości nadzwyczaj manipulacyę urzędową i ułatwi kierowanie tylu zakładami, dozwalając skorzystać z sił, nie nadających się w jednym, w drugim. Drogą zwykłego rozporządzenia kierownictwa naczelnego, osobnik, który nie dorósł, dajmy na to, do pełnienia funkcyi, jakie mu powierzono w teatrze, mógłby zostać przeniesiony do tramwaju, a gdyby i tu nie znaleziono dlań odpowiedniego stanowiska, odesłałoby się go do rzeźni miejskiej. Takie scentralizowanie zarządu miejskich przedsiębiorstw byłoby dla gminy bardzo korzystnem i dopomogłoby do zaprowadzenia w budżecie wcale poważnych oszczędności.

Czy jednak kandydatura ex króla czarnogórskiego na ten ważny posterunek może być poważnie braną w rachubę, bardzo wątpię. Jeśli tego rodzaju posada ma być w samej rzeczy kreowaną, jest już z wszelką pewnością upatrzony na nią kandydat, mający pewne zasługi i prawo do wdzięczności ojców miasta. Wiadomo bowiem, że w Krakowie w ten sposób spłaca się różne moralne zobowiązania z dawnych czasów. (Tak zwane „weksle wdzięczności“, płatne na okazicieIa).

W ostatecznym wypadku król Nykita, pochodzący z szanownego rodu Njeguszów, zapisanego pięknie na kartach historyi, zwłaszcza w dziale „chów nierogacizny“, mógłby objąć kierownictwo spraw aprowizacyjnych miasta, a jestem mocno przekonany, że wywiązałby się z tego lepiej, niż niejeden prawnik, zwłaszcza, że właśnie teraz nie brakłoby mu pola do popisu.

Dziwnie się losy plotą na świecie! Król czarnogórski dzięki koalicyi stracił tron i koronę (choć i rublami nie gardził!...), a o zapewnieniu mu spokojnej starości troszczyć się musi kronikarz *Nowości illustrowanych*, należący do zupełnie przeciwnego obozu. Koalicya, jak z tego widać, nie jest bynajmniej wdzięczną tym, którzy tylko dla niej cierpią.

Skoro zawadziłem o aprowizacyę, muszę jej kilka słów poświęcić, zwłaszcza, że pisma codzienne zajmują się nią również bardzo energicznie, co jest dowodem jej aktualności.

Rozpoczynam od magistrackich gęsi, które sprzedaje się w drodze urzędowej na placu Jabłonowskich, ale tylko podobno wybranym, to jest tym, którzy mogą się wykazać świadectwami lojalności względem władz autonomicznych. Bezwarunkowe pierwszeństwo mają radcy miejscy i ich bliższe i dalsze rodziny, w drugim rzędzie idą funkcyonaryusze miasta, a cała reszta, po zupełnem rozsprzedaniu, pozostaje dla szerszego ogółu. Onegdaj chciałem i ja nabyć gęś za szesnaście koron i stałem już w ogonku, w miarę przecież, jak on się kurczył i zapas gęgających ptaków się zmniejszał i skoro na mnie przyszła kolej, usłyszałem, że już cały zapas wysprzedano, ta zaś reszta, która się odzywa na podwórzu, przeznaczoną jest dla uprzywilejowanych. Ongiś gęsi ocaliły Kapitol, a z nim Rzym, dziś zdradziły miejskie praktyki aprowizacyjne.

Gdym zaczął narzekać na garbaty los, pocieszono mnie, że gęsi były na ogół chude, więc nie mam powodu do żałowania, zresztą w następnym tygodniu, o ile nadejdzie transport z Królestwa, będę miał bezwarunkowo pierwszeństwo, ale pod warunkiem, że o tem ani pisnę w kronice. Warunku nie dotrzymałem wobec tego gęsiny jeść nie będę, ale, na złość magistratowi, kupię sobie łabędzia, wystawionego na sprzedaż przez Zarząd ogrodów miejskich, a nie mogącego znaleźć nabywcy. Podobno łabędź przed śmiercią śpiewa i to nawet bardzo pięknie, ponieważ zaś przeznaczam go do celów aprowizacyjnych, więc pod nóż, ciekawy jestem, jaką usłyszę melodyę. Może kot zastąpić w potrzebie zająca, ciekawy jestem, dlaczego łabędź nie mógłby grać roli gęsi, zwłaszcza, że jest do niej tak podobny.

Oby tylko nie zażądano zań bajońskich sum!

W tym samym numerze naszego poważnego „Czasu“, w którym wyczytałem ogłoszenie o sprzedaży miejskich łabędzi, znalazłem też i inne, następującej treści:

„Do sprzedania trzy pieski po 120 K, jedna suczka za sto koron, pięciotygodniowe, *dobrej rodziny*, legawe, bardzo rasowe“.

Jednem słowem, prawdziwa psia arystokracya, o krwi błękitnej. Dziś, gdy cały świat się na gwałt demokratyzuje, psy zaczynają nabywać arystokratycznych nawyczek. Wyobrażam sobie, jak taki szczeniak, pochodzący z „dobrej rodziny“, musi patrzyć z góry na swych kolegów plebejskiego pochodzenia, i jaką mu to musi przykrość wyrządzać, gdy zmuszony jest jakiego biedaczynę ugryźć w łydkę. Wyjątek stanowią tylko tak zwane „pańskie dziady“, od których w Krakowie aż się roi, co to „wstydzą się pracować“. Dzięki dobroczynności publicznej żyją przecież wcale znośnie, jak owi ptakowie niebiescy, co to ani sieją, ani orzą, ale zbierają i dobrze im się powodzi.

W innym natomiast gatunku jest ogłoszenie, jakie znalazłem w jednym z ostatnich numerów lwowskiego „Nowego Wieku“.

Czytamy tam:

„Kto chce widzieć koniec wojny? Kto chce długo żyć? Kto lubi dobre owoce? Tylko w Owocarni katolickiej, Lwów, Chorążczyzna 5.“

Ponieważ owoce lubię, umierać, na razie przynajmniej, nie mam ochoty, a końca wojny, jak to już nieraz zaznaczyłem, chciałbym się koniecznie doczekać, jestem gotów przenieść się do Lwowa i zostać stałym odbiorcą ogłaszającej się firmy. Nawet nie przypuszczałem, że jedzenie owoców może mieć tak doniosłe skutki. Z ostateczną decyzyą wstrzymam się przecież, aż nadejdzie urzędowa wiadomość, że nasilenie czerwonki nad Pełtwią już zmalało. Bo nie opłaci się pchać z deszczu pod rynnę.

Jakiś jegomość ogłasza również w „Nowym Wieku“, iż temu, kto mu pożyczy piętnaście tysięcy koron, da w procencie mieszkanie na wsi i codziennie litr mleka. Oferta na oko wcale ponętna, w rzeczywistości zaś bardzo skromna, wobec tego wątpić należy, czy znajdzie się kapitalista, który chciałby się złakomić na willegiaturę i mleczną dyetę, w zamian za sumę, mogącą mu przynieść daleko piękniejsze dochody. Próbować nie nie szkodzi, amatorów mleka jest dość, może się przecież który z nich zgłosi.

Jak z tego widzą P. T. Czytelnicy, zajmuję się też i częścią inseratową naszych pism codziennych i muszę powiedzieć, że coraz więcej spotykam na ich szpaltach ogłoszeń matrymonialnych. Szukającą stroną jest częściej kobieta, rzadziej mężczyzna, „wolny od wojska“, *ergo* niedołęga, lub taki, który już przekroczył życiowy Rubikon.

Ponieważ zaś kandydatek do stanu małżeńskiego jest cały legion, a nie wszystkie matka-natura jednakowo wdziękami obdarzyła, wobec niektórych okazując się tylko macochą, coraz też częściej czyta się ogłoszenia różnych specyalistów i specyalistek, jak sztukować wdzięki, lub zastąpić to, czego brak. Za pouczenie, lub nadesłanie specyfików, każą sobie słono płacić, ale twierdzą, że te środki dobrze robią, jeśli nie tym, którzy ich używają, to w każdym razie ogłaszającym. A naiwnych, chcących w ten sposób odświeżyć i upiększyć swą cielesną powłokę, bynajmniej nie brakuje, "wynalazki" więc mnożą się z dnia na dzień.

Ogłasza też pewien adwokat węgierski, iż wydał pouczenie, w jaki sposób obcy poddany może się na Węgrzech najłatwiej pozbyć w krótkim czasie i bezboleśnie swej drogiej żoneczki, widocznie więc nie wierzy bardzo w trwałość małżeństw obecnych, tak zwanych wojennych. Nieraz już wybierali się od nas amatorowie rozwodów za Karpaty, by tam się pozbyć swojego ciężaru, było to przecież połączone z trudnościami i kosztami. Dziś liberalny rząd węgierski trudności usunął, pozostawił jednak koszta. Dla adwokatów tamtejszych woda więc na ich młyn, ogłaszają się też, ofiarowując spragnionym wolności swe usługi po przystępnych cenach, z możliwym pospiechem i „pod gwarancyą“.

Ja tam z pewnością nie usłucham tych namów. Żyłem tyle lat z Weronisią i było nam dobrze, nie będziemy więc szukać szczęścia gdzieindziej. Kto mi zresztą zaręczy, że się nie omylę i nie „wpadnę“?... Niech więc lepiej zostanie, tak, jak było, bo choć może nie jest całkiem dobrze, mogłoby łatwo być jeszcze gorzej!

Na zakończenie zostawiłem sobie wzmiankę o pewnej starowinie, rodzaju żeńskiego, która w Sosnowcu żyjąc, nie mogła się w żaden sposób pogodzić z obecnymi, wywołanymi wojną stosunkami. Wszystko podrożało w niebywały sposób, postanowiła więc dotąd nic nie kupić, póki wszystko nie potanieje. I dotrzymała słowa. Nie mogąc się doczekać zniżki cen chleba, mąki, ziemniaków, cukru, kawy, kaszy i t. d. zmarła głodową śmiercią, pozostawiając stroskanym spadkobiercom kilkanaście tysięcy rubli w gotowiźnie na „otarcie łez“.

Taka siła woli i stanowczość, zwłaszcza u przedstawicielki płci słabej, powinna i musi każdemu zaimponować...

Oby takich było więcej!

Zagadki do nagrody.

Szarada.

Ułożył Cz. Murczkiewicz, Busko.

— Cóż tam w waszej okolicy?
— Hm! Cóżby?... Ogólny *cały*..
— Jakto?.. Brak wam żywności, komitetów ratunkowych?
— Ee!.. Żywności, co prawda, *pierwsze* — wiele, ale ostatecznie *drugie-trzecie-czwarte* komitetów wszelkich i sekcyi również całe *trzecie!*
Więc?
— Tylko, jak wszędzie dzisiaj, nic się *pierwsze drugie-trzecie-pierwsze* bez różnych kar — *czwarte*, kwitków i t. p...

Trójkąt magiczny.

Ułożył K. Przepolski, Kraków.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy i poziomy utworzą nazwisko polskiego poety.

□ □ □ □ □ □ □ □ □ □
□ – – – – – – – –
□ – – – – – – –
□ – – – – – –
□ – – – – –
□ – – – –
□ – – –
□ – –
□ –
□

Znaczenie wyrazów: 1. Szukany wyraz. 2. Zrzeczenie się tronu. 3 Grek, znany z historyi. 4 Miasto w Palestynie 5. Szczyt w Tatrach. 6 Imię żeńskie 7 Jeden z żywiołów 8. Rzeka w Galicyi. 9 Przyimek. 10 Samogłoska.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył K. Przepolski, Kraków.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie

Wod, raczy, polewka.

Łamigłówka syllabowa.

Ułożył Cz. Murczkiewicz, Busko.

Z podanych zgłosek ułożyć szereg wyrazów:

al, an, bag, czer, dad, dech, e, go, ja, jasz, je, ka, kwi, nan, paż, ro, sen, sy, tier, ze, zio

Początkowe i końcowe ich litery, czytane z góry na dół, podadzą plagę dzisiejszych czasów.

Znaczenie wyrazów: 1. Wilajet w Turcyi azyatyckiej 2. Dramaturg francuski 3. Zagłębienie lądowe. 4. Rodzaj powozu. 5. Miasto w gubernii kijowskiej 6 Ostatni król Judy. 7. Znakomity podróżnik. 8. Bengalijski instrument muzyczny.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył J. Markiewicz, Nagawczyna.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie

Awa zeszle, wyszydziło wzcrek.

Krzyż magiczny.

Ułożył Cz. Murczkiewicz, Busko.

Z podanych liter ułożyć trzy wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym.

a a a
a a c
d d e
e h h i i k k k k
l l m m m m n n n
n n o o o o o o s
s t t
t t u
u u u

Znaczenie wyrazów: Pierwszy i trzeci wyraz, to miejscowości, w bliskości których toczyły się niedawno zacięte walki, środkowy zaś, źródło, z jakiego czerpiemy wiadomości z placów boju.

Łamigłówka na czasie.

Ułożył Cz. Murczkiewicz, Busko

Poprzestawiane litery ułożyć we wyrazy, by można było odczytać aktualny czterowiersz z tytułem:

O zeme śdiz iwómą?

O smvztewsik i o zimnec,
A jawejnęci, zad isę,
Z mohramnuzecz zimlobec
O... dypłom śdiz zacise

Równanie.

Ułożył J. Obtułowicz, Żywiec.

Odpowiednio odgadnięte wyrazy mają mieć po tyle zgłosek, ile ich wykazuje mianownik. Z każdego należy wyjąć jedną syllabę, a otrzymamy w pierwszem równaniu nazwisko polskiej autorki, w drugiem tytuł jej utworu.

$$\frac{a}{3} + \frac{b}{2} + \frac{c}{3} = x.$$

$$\frac{d}{2} + \frac{e}{2} + \frac{f}{2} = y.$$

Znaczenie wyrazów: a) Slimak wodny. b) Gwiazda z konstellacyi Bliźniąt c) Małż. d) Utwór Krasińskiego e) Ideał wielu ludzi. f) Przedmieście Krakowa.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *Teodora Tyca*: **Facecye z dawnej Polski.**

Rozwiązanie zagadek z Nr. 39.

Łamigłówka literacka: Eliasz Radzikowski

Zadanie do uzupełnienia:
1) Szkoda czasu i atłasu.
2) Nie każdy filozofem, bo któżby świnie pasł?

Łamigłówka kryształowa:

P
l e n
l i l i a
l i m o n i t
P e l o p i d a s
C y l i c y a
R o d a n
b a s
z

Zadanie do uzupełnienia:
1) Każdy tak czyni, jak może
2) Dary psują dobre obyczaje.

Szarada: Lulek.

Zadanie do przestawienia: Wiele słuchaj, mało mów, jeśli chce-z, byś był zdrów

Logegryf:

M o r a ł
E d z i o
R u d k i
E k r a n
Ż a r n a
K a h a ł
O ł y k a
W i r c h
S a b a o
K ą c k i
I s l a m

Zadanie do przestawienia: Pan, jako chce, a chudzina, jak musi.

Zadanie do przestawienia: Po zwierzynie utop smak w węgrzynie

Bilety wizytowe: Pianistka. Zakonnica. Ogrodnik. Organista. Marszałek polny.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp.: F. Horak Oświęcim, W. Rachwalski Bochnia, K. Ciesielski Poznań, S. Galiński Nowy Sącz, J. Rogalski Radłów, S. Krzyżanowski Podgórze, H. Radziński Sucha, J. Broda Kraków, K. Nowicki Przemyśl K. Pisaecka Lwów. J. Niemojewski Zakopane, S. Karczmarski Poddębie, M. Klappholz Praga, J. Strojek Podgórze, W. Bogusz Zabierzów, A. Gross Kraków, J. Szewioł Prądnik, S. Ramza Wieliczka, M. Bański Liszki, J. Jakubowska Kraków, J. Wilczkiewicz Wiedeń, D. Medyńska Zakopane, M Serednicka Tarnów, S Skowroński, Kraków, W. Świrski Zakopane, Z. Rogozińska Kraków, M. Winiarska Lwów, J. Krawecki Bochnia, Cz. Lipiński Zakopane, M. Domagalska Kraków, J. Łopatkiewicz Wiedeń, Jan Górka Kraków, J. Ciszewski Peszt, W. Błoński Kraków, J. Baczyński Kraków, J. Jahoda Cieszyn, M. Sperling Wiedeń, W. Kadulska Kraków, W. Krzywicki Praga, J Lustig Lwów, W. Potocka Kraków, S. Kalinowska Podłęże, T. Nikiel Chrzanów, A. Bandrowski Zakopane, K. Leszczyński Wiedeń, E. Laskowski Jordanów, T. Rzepecki Poznań, S. Kamocki Wiedeń, H. Ungar Wiedeń, R. Sadowski Kraków, J. Czarkowski Poznań, J. Gramski Wadowice, S. Sokołowski Kraków, K. Błachowski Kraków, K. Zegartowska Bogucice, H. Obst Praga, I. Brzostowski Chrzanów, S. Kozłowski Tarnów.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **A. Gross, Kraków.** Upraszamy o nadesłanie 50 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Głosy publiczne.

Ku długotrwałej pamięci szlachetnego i bohaterskiego czynu I. pułku ułanów polskich, którzy podczas odwrotu armii rosyjskiej uratowali miasto Stanisławów od zupełnego zgorzenia, a mieszkańców od rzezi i rabunku, wydała tamtejsza Liga Kobiet list pułkownika I. pułku ułanów, Mościckiego, do burmistrza miasta Stanisławowa wraz z krótkiem objaśnieniem, dotyczącem czasu i sposobności, przy jakiej został napisany.

Cena egzemplarza wynosi 50 hal. Zamówienia przyjmuje skarbniczka Ligi Kobiet: Józefa Fuchsówna, Stanisławów, Kasa oszczędności.

Dochód przeznaczony na opiekę nad superarbitrowanymi legionistami, a pewien procent na internowanych w Szczypiórnie.

Właściciele i wydawcy, Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: M. Lipińska. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego